

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Mustrwany Tygodnik Kobiecy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 6 LIPCA 1929 ROKU

NR. 27

TREŚĆ NUMERU: Znaczenie kongresów kobiecych — *Natalja Jastrzębska*. Gałązka oliwna — *Stefanja Podhorska - Okolóm*. Poezje: „Wiersz niepotrzebny“, „Święta Genowefa z mostu Tournelle“ — *Felicja Kruszevska*. Zawalidroga (c. d.) powieść — *Herminja Naglerowa*. Historia młodzieńczej miłości generała Józefa Bema (dok.) — *Włodzimierz hr. Bem de Cosban*. Listy z nad Gangi — *Kamalini Shrinagamir*. Z życia ekranu — *Stef. H*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. P. i N. J.* Techniczne pomoce w gospodarstwie domowym — *M. Dobrowolska*. O otrzymaniu dobrego plonu pomidorów — *Zofja Wróblewska*. Odżywianie a zdrowie — *Marja Morzkomska*. Pielęgnowanie maciory prośnej i prosiąt — *Zofja Prażmowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“ Dodatek „Mody i roboty“: Kapelusze — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*.
Arkusze wzorów.

ZNACZENIE KONGRESÓW KOBIECYCH

Jedną z najznamienniejszych przemian, jakie dokonały się po wojnie w życiu społeczeństw i wzajemnym stosunku do siebie różnych narodów, są zjazdy i kongresy.

Zapewne, istniały one i dawniej, były jednak tylko wyjątkowym zjawiskiem, jakimś, od czasu do czasu dokonywaną próbą porozumienia międzynarodowego, na gruncie najczęściej nauki, czasem sportu, lub sztuki. O regulowaniu na tej drodze stosunków prawno-społecznych, lub politycznych nie mogło być nawet mowy.

Obecnie — i to w czasie względnie bardzo krótkim po wojnie — to porozumienie się narodów między sobą objęło odrazu wszystkie prawie dziedziny życia, zarówno wewnętrznego państw, jak i międzynarodowego w tym samym zakresie.

Obok kongresów naukowych, sportowych i korporacyj zawodowych, stanęły zjazdy przedstawicieli miast, reprezentantów różnorodnych gałęzi administracji państwowej i wszechświatowych związków, regulujących liczne kwestje prawno-społeczne, jak walka z handlem kobietami i dziećmi, opieka nad macierzyństwem, opieka społeczna, stosunki pracownicze, ekonomiczne, idea powszechnego pokoju.

Uchwały, zapadające na tych kongresach, zostają przeważnie wprowadzane w życie w tych krajach, których przedstawiciele na zjazdach obradowali, i chociaż dziś jeszcze każde poszczególne państwo ma zupełne prawo i swobodę nie ratyfikowania nawet uchwał Ligi Narodów, lub Konferencji Pracy, to jednak postulaty, wysuwane i opracowywane na zjazdach, zdobywają coraz większą po-

wagę i stają się rodzajem praw międzynarodowych, do których większość społeczeństw się stosuje.

Stowarzyszenia kobiece nie zostały za innymi, przeciwnie, one to jedne z pierwszych i na długo przed wojną organizowały związki wszechświatowe i zwoływały wielkie, międzynarodowe kongresy. Dość wspomnieć międzynarodową Radę Kobiet, lub również międzynarodową Ligę praw wyborczych Kobiet, których zjazdy odbywały się już w pierwszych latach bieżącego stulecia.

Naturalnie, że z rozwojem ogólnego ruchu kongresowego, wzmożło się też nadzwyczajnie życie wielkich związków kobiecych. Rok bieżący przyniósł cały szereg kongresów, już odbytych, lub zapowiedzianych, jak: międzynarodowy zjazd kobiet-lekarek w Paryżu — w maju, zjazd kobiet Małej Ententy w Warszawie w czerwcu, Zarządu Rady Międzynarodowej Kobiet w Londynie, mający się odbyć w sierpniu, zjazd kobiet z wykształceniem uniwersyteckim w Genewie i świeżo zakończony w Berlinie, największy ze wszystkich, XI Kongres Międzynarodowego Związku Praw Wyborczych, oraz Działalności Prawnej i Politycznej kobiet (dawniejsza Liga Praw Wyborczych Kobiet), urządzony z racji dwudziestopięciolecia istnienia organizacji.

Jakie są tematy obrad i co jest głównym celem tych zjazdów?

Zakres wszystkich nie może być, rzecz prosta, jednakowo szeroki. Kongresy Korporacyj naukowo-zawodowych — jak lekarek, lub kobiet z uniwersyteckim wykształceniem — muszą z natury rzeczy obracać się głównie w dziedzinie spraw, dotyczących



ca 434/1929

ich specjalności; i one jednak potracają zawsze o kwestje społeczne, jak np. zjazd lekarek, który dał niesłychanie ciekawą, rewelacyjną, rzecz można, statystykę przyczyn chorób i przestępstw wśród małoletnich. Zato zjazdy organizacyj polityczno - prawnych, jak Rady Kobiet, Małej Ententy i Międzynarodowego Związku Praw Wyborczych — prócz spraw kobiecych, mają w swych programach szereg kwestyj ogólnego znaczenia i pierwszorzędnej wagi. Obecnie np. pół dnia obrad berlińskiego Kongresu poświęcono sprawie powszechnego pokoju.

Wziąwszy jeszcze pod uwagę okoliczność, że kobiety biorą również liczny udział we wszystkich zjazdach innych, nie swoich wyłącznie organizacyj — zrozumiemy, jak poważny może być ich wpływ na ten cały ogromny kompleks zagadnień, stanowiący dziś program działalności na terenie międzynarodowym. I mimowoli przychodzi refleksja, że kto wie, czy nie na tej drodze uda się kobietom zyskać największą „sferę wpływów“.

W każdym bowiem poszczególnym kraju, nawet w tych, gdzie istnieje prawne i polityczne równouprawnienie, wpływy zarówno organizacyj kobiecych, jak kobiet-posłanek — wszędzie jeszcze dotychczas bardzo nielicznych — są niewielkie. Natomiast na forum międzynarodowym wysuwają się coraz liczniejsze nazwiska kobiece. Przewodniczące wielkich organizacyj, delegatki przy Lidze Narodów, delegatki poszczególnych krajów na Genewskiej Konferencji Pracy — stają się osobistościami, które zna i uznaje cały świat cywilizowany, więcej: z którymi liczą się działacze i wpływowi politycy, właśnie na terenie akcji międzynarodowej.

Fakt ten ma znaczenie bardzo doniosłe i to nie tylko dla sprawy kobiecej w ścisłym rozumieniu tego słowa.

Jako znamienity przykład posłużyć może fakt, który zdarzył się niedawno w Niemczech, gdzie na tle wszystkich szowinistycznych manifestacyj i brutalnych napaści na inne narody — niemiecki Związek Kobiet uchwalił deklarację, protestującą przeciwko wojnie gazowej, umocowując swoje przedstawicielki do złożenia tej rezolucji na Kongresie Pacyfistów we Frankfurcie.

Na szerokiej arenie działalności międzynarodowej kobiety zaznaczają się energią, świetną inicjatywą, sprawiedliwością, rozumem, doskonałym darem organizacji i wyjątkową nawet dzielnością i poświęceniem. W zeszłym roku, na przykład, podczas najgwałtowniejszych walk w Chinach, amerykański Związek Kobiet wysłał trzy swoje przedstawicielki, aby weszły w porozumienie z kobietami chińskimi i starały się dopomóc im w ich działalności.

Do instytucyj pierwszorzędnej wagi, powstałych głównie pracą i udziałem kobiet, należy również Międzynarodowy Instytut Wychowania. W nim to

zapoczątkowano wymianę młodzieży między poszczególnymi krajami, nieraz niezmiernie od siebie oddalonymi, jak np. Anglja, Japonja, Stany Zjednoczone, Chiny i t. p., zarówno jak między krajami europejskimi. Młodzi chłopcy i dziewczęta w wieku szkolnym korespondują z rówieśnikami innego kraju, wymieniając z nimi myśli, potem jadą poznać ten kraj, jego kulturę, obyczaje, i w ten sposób uczą się własnym doświadczeniem oceniać dorobek cywilizacyjny innych krajów i rozumieć korzyści wzajemnych pokojowych stosunków narodów.

Tak samo pracuje znaczna liczba kobiet w Międzynarodowym Instytucie pracy intelektualnej. Ta placówka kultury, zbyt mało jeszcze u nas znana, podjęła wielkie zadanie gromadzenia najlepszych dzieł każdego narodu z zakresu nauki, literatury, sztuki i zaznajamiania z niemi całego świata cywilizowanego.

Najenergiczniejszą jednak działalność podjęły organizacje kobiece w sprawie powszechnego pokoju. Akcja ta rozwija się, naturalnie, najintensywniej w Anglji i Stanach Zjednoczonych, to jest tych krajach, które, nie mając zbyt bliskich i natarczywych sąsiadów, nie mają bezpośrednio zagrożonych granic, ani warunków egzystencji; istnieje jednakże wszędzie — nie uchylają się od niej nawet kobiety niemieckie, przeciwnie, prasa kobieca niemiecka gorąco ją popiera. Prasa kobieca angielska zaś uczyniła z powszechnego pokoju naczelne hasło podczas ostatnich wyborów. Coraz częściej i coraz energiczniej odzywają się głosy, że polityka, kierowana dotychczas we wszystkich krajach wyłącznie przez mężczyzn, wydała przez całe tysiące lat owoce okropności — ciągłych gwałtów i wojen, i że czas już spróbować wprowadzić do niej inne czynniki — kobiecej łagodności, miłości bliźniego i pokoju.

— Marzenia! — twierdzą „trzeźwi“, rutynowani politycy — w odpowiedzi możemy przypomnieć, że wszystkie wielkie reformy ludzkości były z początku tak oceniane.

Na chwałę kobiet również przypomnieć należy, że mają już w tej sprawie nieśmiertelne zasługi. Dwa nazwiska kobiece, dziś już zaszczytnie znane, otoczy przyszła, nieznaną już wojen, ludzkość największą czcią: Berty Suttner, która pierwsza w literaturze i całej swej działalności wystąpiła przeciw barbarzyństwu wojny, i Florencji Nightingale, wielkiej reformatorki i organizatorki Czerwonego Krzyża.

A jak szybko jednak te „marzenia“ wchodzą w fazę rzeczywistości! Gdy Berta Suttner wydała swoją powieść: „Precz z orężem!“ — po wojnie francusko-pruskiej, odsądzono autorkę od zdrowych zmysłów, nie szcędząc jej najdotkliwszych zarzutów i obelg — a w dwadzieścia lat później idea jej znalazła już urzeczywistnienie w Konwencji Haaskiej.

Słaba i nieśmiała to była próba, pokoju nie udało się nią utrzymać, ale złagodzone przynajmniej stosunki stron wojujących, a gdy ludzkość ponownie krwawiła się w straszliwej walce, ustanowiła drugą instytucję pokojową, o ileż już władniejszą — Ligę Narodów.

„Marzenia“ więc nie są beznadziejne — a w urzeczywistnieniu ich największą pomocą stać się muszą kobiety.

Ideą przewodnią organizacyj kobiecych, tematem ich obrad podczas kongresów jest etyka i sprawiedliwość społeczna. Zasadą — opieka i pomoc wszystkim słabym i pokrzywdzonym — opuszczonej matce i zbłąkanemu, występniemu dziecku, wyzyskiwanemu pracownikowi i spełniającej obowiązki, a pozbawionej praw, obywatelce.

Równa moralność obu płci, powszechne rozbrojenie i załatwianie zatargów drogą pokojowego arbitrażu — to również naczelnne postulaty działalności ideowej i praktycznej tych związków. Gdy kobiety przejmą się temi zasadami i w nich wychowają swoje społeczeństwa — czyż można wówczas będzie wątpić, że ludzkość jest przygotowana do zaprzestania wojny?

W pracy nad wprowadzeniem w czyn tych zasad bierze już dziś udział olbrzymia liczba kobiet ze wszystkich krajów świata; a żywym dowodem i dobitnym wyrazem ich działalności i wpływu jest powodzenie i powaga zjazdów ich międzynarodowych organizacyj. Każdy z tych kongresów — to jeden krok naprzód ku przyszłości w prawdzie, sprawiedliwości i pokoju.

Natalja Jastrzębska



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

GAŁĄZKA OLIWNA

Zaroilo się w Polsce od cudzoziemek. Szczególnie ostatni tydzień czerwca odznaczał się pod tym względem niezwykłą ruchliwością. W poniedziałek — odczyt francuskiej adwokatki pani Suzanne Grinberg Aupourrain o „Kobiecie i pokoju“; we wtorek — powitanie przewodniczącej żeńskiego Fida'u, amerykańskiej, pani Adalin Wright Macauley, a jednocześnie otwarcie V-ej konferencji „Małej Ententy Kobiet“; we środę, czwartek i piątek — obrady tejże Małej Ententy. Jest w czem wybierać i z czego czerpać materiał do ciekawych spostrzeżeń i wniosków. Ale my, którym z obowiązku redakcyjnego wypada być wszędzie i o wszystkim wiedzieć — musiałyśmy dwoić się i troić, aby podołać wymaganiom chwili.

Zacznijmy zatem nasz tydzień cudzoziemek od pięknej i uposażonej w wyjątkowy dar słowa pani Suzanne Grinberg - Aupourrain. Jest podobno bardzo wziętą adwokatką w Paryżu; kto ją raz usłyszał, dziwić się temu nie będzie, ma ona bowiem czysto francuską zdolność ubierania nikłej treści myślowej w prześliczną formę językową i podania jej w sposób, sugestjonujący nawet dość krytycznie nastawionego słuchacza.

Pani Grinberg przyjechała do Polski, jako apostołka pacyfizmu, — odczyt jej odbył się w sali Koła Prawników pod auspicjami polskiej sekcji „Société des Amitiés Internationales“.

Każde wypowiedzenie się opinii wszechświatowej w sprawie tak bardzo palącej a tak trudnej do zrealizowania, jak sprawa powszechnego pokoju, budzi zawsze zrozumiałe zainteresowanie, nietyle wśród mas, co wśród jednostek, skłonnych do samotnych wędrówek po szlakach ideologii. Każdy cudzoziemiec, przynoszący nam oliwną różdżkę pokoju, witany jest, jak zbawca ludzkości, jak prorok. Oczekujemy po nim cudu, z nabożeństwem dotykamy czarodziejskiej różdżki i ze zgrozą przekonywamy się, że listki na niej są sztuczne, a po ich opadnięciu zostaje suchy badył martwej teorii. Nic dziwnego, że taka bezduszna płonka na naszej glebie przyjąć się nie może.

Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy byli zatwardziałymi zwolennikami wojny. Każda uczciwie myśląca jednostka ludzka musi pragnąć pokoju powszechnego, jako ostatecznego zwycięstwa prawdy i sprawiedliwości. Ale dopóki to zwycięstwo nie stanie się ciałem, dopóty nie może być mowy o powszechnym rozbrojeniu, dopóty idea pacyfizmu pozostanie fikcją, daremnie szukającą gruntu pod nogami w zalawie druzgocących faktów.

Pani Grinberg przybyła do Warszawy wprost z Berlina, rozentuzjasmowana atmosferą międzynarodowego pojednania, jaka panowała na tamtejszym kongresie pacyfistyczno - feministycznym. Niestety,

nie powiedziała nam nie o konkretnych zdobyczach kongresu, natomiast z zachwytem mówiła o symbolicznym pochodzie młodych dziewcząt niemieckich, defilujących przed uczestnikami kongresu z proporcami wszystkich państw. Wzruszenie, z jakim pani Grinberg podnosiła fakt, że w rękach jednej i tej samej dziewczyny niemieckiej spotkał się zgodnie sztandar niemiecki z francuskim — nie udzieliło się jakoś polskim słuchaczom. Nikt nie zapytał, czy w tej rewji tanecznej nie zabrakło i polskiego sztandaru, bo gdyby nawet tam był, czyż miał odegrać smutną rolę gojącego plastra na świeże jeszcze rany, zadane polakom przez Niemców w Opolu?

Parada pozostanie zawsze paradą, a życie — życiem. Zbyt wiele mamy przykrych doświadczeń z zakresu „pokojowego współżycia“ z naszymi zachodnimi sąsiadami, aby powiewaniem chorągiewką przed oczyma można nam zasłonić rzeczywistość.

Podobno pani Grinberg zaraz po odczycie miała jechać na wystawę do Poznania. Może tam lepiej zda sobie sprawę z tego, czym jest Polska, i na przyszłość wysuwać będzie w propagandzie pacyfizmu argumenty bardziej dla naszych umysłów przekonujące.

To, co nam mówiła o roli kobiety w sprawie powszechnego pokoju, o wakacyjnej wymianie młodzieży, o celowości podróży zagranicę, o pewnym młodocianym Angliku, który, przyjechawszy do Paryża, kazał się przedewszystkiem wieźć do Moulin Rouge, bo wyobrażał sobie, że to jest najciekawsza, nawskroś narodowa instytucja — sanktuarjum wszystkich Francuzów, — to wszystko są rzeczy aż nadto znane i uznane, poprostu elementarne, aby nawet wygłoszone piękną francuszczyzną nabrały pozorów rewelacji. Natomiast w prywatnej rozmowie, formułując swoje cele, jako bojowniczkę o prawa kobiety (pani Grinberg od dwu lat bierze udział w komisji, opracowującej projekt reformy kodeksu Napoleona) — rzuciła myśl świeżą i ciekawą.

— Uważam — powiedziała — że najważniejszym zadaniem feminizmu jest obrona kobiecości w kobiecie.

Lapidarne i całkiem nowoczesne ujęcie sprawy.

Przejdźmy teraz do tej cudzoziemki, która na ideał pokoju patrzy przez krwawy pryzmat wielkiej wojny, która przez półtora roku okrutnej niepewności słała tęskne spojrzenia za ocean, gdzie w szeregach armji aljanckiej we Francji walczył jej ukochany małżonek, do tej amerykańskiej samarytanki, pod której pieczęą zakwitł słynny „mak polny“, przynoszący rocznie 900.000 dolarów dochodu na rzecz inwalidów, — do pani Adeliny Wright Macauley, która jako światowa przewodnicząca żeńskiej placówki Fida'cu (Fédération Interalliéée des Anciens Combattants), przybyła do Polski, aby ją poznać, zbliżyć się z naszymi instytucjami społecznymi i organizacjami wojskowymi, a w następstwie wygłosić cały szereg odczytów o Polsce w Paryżu i w Ameryce.

Pani Macauley miała sposobność zetknąć się po-

raz pierwszy z amerykańskimi Polakami na terenie politycznym. Oto podczas wyborów w jej okręgu, kiedy postawiono jej kandydaturę, głosowali przeciwko niej, ponieważ jest... zwolenniczką prohibicji.

— Nie mogę o to mieć do nich żalu — wtrąca z uręczym uśmiechem, — przecież wielu moich ziomków z tych samych względów głosowało na Smitha, zamiast na Hoovera.

Jesteśmy tak przyzwyczajeni do płytkich sądów cudzoziemców o naszym kraju, do tego łatwego prześlizgiwania się po powierzchni zjawisk naszego życia, że ze zdumieniem i szacunkiem witamy tę sumiennność, z jaką pani Macauley pogłębia każde zagadnienie. Wystawa w Poznaniu, a w szczególności Pawilon Rządowy otworzył jej oczy na ogrom pracy, dokonanej w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Nie poprzestała jednak na skonstatowaniu tego faktu. Musiała dotrzeć do jego źródła. Uderzyła ją nerwowość Polaków, szybkość decyzji, pośpiech w działaniu. Z przedziwną intuicją kobiecą skojarzyła te dwa fakty i wyprowadziła wniosek.

— Teraz rozumiem, dlaczego jesteście tacy nerwowi, — rzekła, — przecież takiego ogromu pracy w tak krótkim czasie można dokonać tylko niesłychanym wysiłkiem nerwów.

Pani Macauley zwiedziła już spory szmat naszego kraju. Z życiem wsi polskiej zetknęła się w Kórniku, Gołuchowie i Przeworsku. Z impulsywnym wzruszeniem spotykała wycieczki harcercskie. „I ja zostawiłam za oceanem mojego małego skauta“. Jest nim szesnastoletni jednak pani Macauley, ale nie jedyny spadkobierca jej idei humanitarnej, która w Ameryce ma licznych i gorliwych zwolenników. Do żeńskiej „American Legion“ należy bowiem 500.000 członków.

We Lwowie szczególną uwagę pani Macauley zwrócił fakt obrony miasta przez kobiety i dzieci.

— Gdzież wówczas byli mężczyźni? — zapytała.

Musiano rozwinąć przed nią całą sytuację strategiczną, aby udowodnić jej oczywistość faktu. Tę samą ścisłość i sumiennność zastosowuje w badaniu źródeł pochodzenia naszych organizacji wojskowych. Nie zadowala jej nigdy odpowiedź na pytanie: „jak się coś stało?“ — jako nieunikniona konsekwencja idzie po niem zawsze drugie zapytanie: „dlaczego“?

Za jedną z przyczyn szybkiego odrodzenia Polski uważa udział wszystkich kobiet w pracy społecznej.

— U nas w Ameryce tylko pewien procent kobiet pracuje społecznie; w Polsce, o ile zdążyłam to sprawdzić, w szeregach społecznie spotkać można przedstawicielki wszystkich sfer, nawet bogate właścicielki ziemskie. Wogóle, ze wszystkich narodów europejskich najbardziej przypominacie mi Amerykanów: macie podobnie, jak moi rodacy, odwagę podejmowania najtrudniejszych zadań, o ile tego gdzie potrzeba, odwagę wobec wszystkich i wobec wszystkiego.



Mrs. Adalin Wright Macauley — przewodnicząca
żeńskiego Fida'u

A teraz, po wyczerpaniu sumy wrażeń i spostrzeżeń o Polsce, dochodzimy do osi zagadnień, nurtujących niewątpliwie badawczy umysł znakomitej organizatorki. Jakże ta opiekunka wszystkich uczestników wielkiej wojny, ta niestrudzona patronka kombatantów, wszystkimi węzłami uczuciowymi związana z tradycją bojową, patrzy na ideę pokoju powszechnego?

— Pragnę pokoju, jak każda kobieta. Inaczej być nie może. Instytucja nasza ma przecież na celu gojenie tych strasznych ran, jakie wojna zadała Ludzkości. Ale nie sądzę, żeby urzeczywistnienie tego upragnionego pokoju rozpocząć było można od powszechnego rozbrojenia. Jestem zwolenniczką starożytniej zasady:

„Si vis pacem, para bellum“.

Tak wygląda różdżka oliwna w ręku przywódczyni placówki kobiecej, wspierającej godnie wysiłki mężczyzn, związanych z nią wspólnością idei. Kto wie, czy nie więcej balsamu spływa z niej na wieczne krwawiące rany ludzkości, niż z suchych gałązek teoretycznego pacyfizmu?

Księżna Aleksandra Cantacuzène, znakomita działaczka rumuńska, której bogaty dorobek społeczny przedstawimy w następnym numerze, a która przybyła do Warszawy na konferencję Małej Ententy Kobiet, drogą eksperymentalną doszła do ciekawych

spostrzeżeń w dziedzinie propagandy pacyfizmu.

Zaczęła swoje badania od tych, w których rękę leży przyszłość świata — od młodzieży. Nie narzucając jej ideowych nakazów, nie podsuwając żadnych „pro” czy „contra”, postanowiła za wszelką cenę wydobyc prawdę przekonania z młodych umysłów, tę prawdę, którą młodzież, skrępowana njejednokrotnie wpływami rodziny, szkoły, kolegów, chowa tylko dla siebie. W tym celu zorganizowała konkurs szkolny międzynarodowy, dla wyższych klas gimnazjalnych na tematy, związane z ideą pokoju, z zagadnieniem mniejszości narodowych, ze znaczeniem Ligi Narodów. Laureaci konkursu otrzymują w nagrodę wyjazd do Genewy na kursa wakacyjne Ligi Narodów.

Młodzież, z początku odnosząca się do tej imprezy nieufnie, później rzuciła się w wir zagadnień z zapalem i bezpośredniością, właściwą swemu wiekowi. Jednak niektórzy uczestnicy ankiety kategorycznie odmawiali zeznań.

— Nie jestem dyplomata, aby mi zadawano pytania tak niedyskretne! — gniewnie odpowiedziała pewna młoda panienka.

— W tej kwestji nie mogę być obiektywnym! — lakonicznie zreasumował swoje poglądy w sprawie mniejszości narodowych, jakiś maturzysta.

Pewien młodzieniec, obdarzony talentem literackim i sporą dozą krytycyzmu, zamiast odpowiedzi, skomponował ciętą satyrę polityczną na działalność Ligi Narodów, w formie dialogu między Lloyd George'm, Clemenceau i innymi mężami stanu.

Księżna Cantacuzène podkreśla fakt, że niektóre odpowiedzi zdumiewały dojrzałością i niezależnością sądu. Równolegle z tem odbiły się w nich, jak w zwierciadle, wszystkie właściwości etniczne i psychiczne rozmaitych narodów, jaskrawo zarysowały się różnice plemienne, zgodnie z odmiennymi warunkami życia, z położeniem geograficznym i politycznym; z pierwotną, żywiołową siłą przemówił głos rasy.

Z tych wszystkich odpowiedzi księżna Cantacuzène z właściwym sobie zrównoważeniem i spokojem sądu, wyprowadza ogólny wniosek, nie zaćmiony mgłą doktryny.

— Należy być bardzo ostrożnym w szafowaniu tem słowem: „pokój!” Nadmierny wysiłek i bezwzględność w propagowaniu tego hasła, zbyt gorączkowa akcja pacyfistyczna, może wywołać skutek wręcz przeciwny, a nawet dla sprawy powszechnego pokoju zgubny. Nie można sztucznie przyspieszać przerozienia się idei w czyn, zanim nie dojrzeje ona w łonie pokoleń.

Przez usta znakomitej działaczki przemawia coś więcej, niż gorliwość i całkowite, często bezkrytyczne, oddanie się sprawie, właściwe przeciętnym społecznikom. To mówi doświadczenie i głęboki rozum polityczny, który poza ideałem widzi rzeczywistość i zdąża w przyszłość, nie lekceważąc potrzeb i nakazów chwili.

FELICJA KRUSZEWSKA

WIERSZ NIEPOTRZEBNY

*W Luksemburskim ogrodzie drzewa są takie zielone
i ptaki ze skrzydlatych gałęzi przekłuwają serce piosenką.
Słońce lekko dotyka policzków i osusza rzęsy zmoczone
— jakby świeciło w Polsce — jakby świeciło Łazienkom!*

*Także tej szarej drodze i lasowi za Lublinem,
niebieskim lasom za rzeką, których już nie zobaczę,
sosnom wysokim i prostym, napelnionym żywicznym winem...
Mój Boże! Ja się modłę naprawdę, choć tylko płaczę.*

*Daj myślom miejsce spoczynku, choćby maleńkie i ciasne,
rozplącz to wszystko, uspokój. Wysłuchaj, wysłuchaj przecie!*

— — — — —

*Niepotrzebne są takie słowa bezmystyczne, zupełnie własne
i wiersz ten jest niepotrzebny, jak ja, jak ja na świecie.*

ŚWIĘTA GENOWEFA Z MOSTU TOURNELLE

*Święta Genowefa stoi wysoko na kamiennym słupie
i sama jest wysmukłym kamieniem, zanurzonym w niebie.
Nie słyszy, jak tu na dole żółta fala cicho szmerze i chlupie,
nie pomoże ludzkiemu nieszczęściu, nie pomoże ludzkiej potrzebie.*

*Nie powstrzyma aut rozpedzonych, złych bestyj, spuszczonej z uwięzi,
nie poprowadzi słabych, znużonych, zgubionych przez miejską puszcę.
(Niebo — dym szaroróżowy przekreśliły czarne palce gałęzi
i woda tysiąc razy światłem przebita o brzegi pluszcze).*

*A może już nadsluchuje, patrząc w szybkie fale Sekwany,
gdy tak stoi w mgły omknięta, sama najcichsza w ciszy?
A może tam, na dnie rzeki grają wielkie fioletowe organy?
a może tam jest tak cicho, że święta kamienna dosłysz?*



HERMINJA NAGLEROWA

10)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Kochana — kochana — co dobrego zrobiłem w życiu? Jakie starania i usługi? Wyrósłem, jak wielki, ohydny łopuch, na nic nikomu niezdatny. Psulem ci tylko radość śmiechu i łatwość życia.

Szary bezmiar rozżaleń nawiewał teraz pustką: Idź sobie wprawo, wlewo, idź, dokąd chcesz, bo tu, po tem, co zaszło, nie masz już prawa pozostać! Jakże jej jutro spojrzeć w twarz? Jak przemówić o codziennych sprawach?

Głowa tuliła się do poduszki, do poręczy krzesła, do kantu biurka. Ręce płasły od przedmiotu do przedmiotu, gotowe coniebaź połamać, coniebaź czule pogłaskać. A tu właśnie pióro wyciągało lisi pyszczek i niebieski kajet mierzył wierszami.

Zrazu niechętnie, niby ważąc łyżkę lekarstwa, niósł pióro wgląd czarnego krateru kałamarza. Ale nagle jakby odszedł od wszystkiego, co się tu dziś przydarzyło. Coś, o czem może myślał wczoraj, czy jeszcze dawniej, stało się rzeczywiste i jedyne w tej chwili.

Srebrnym piaskiem sypnął świegot ptaków, a świt załśnił liljowym atlasem na ramie okna. Zakłębił się mrok w kątach pokoju i jakby się poderwał w spłoszonej ucieczce. Dreszcz poranka zagrał na pochylonych plecach. Wtedy oczy, zdziczałe od całonocnego czuwania, cofnęły się w bury cień powiek. Pióro wypłynęło z ręki, jak zdmuchnięte, i wreszcie przełamał się kark, niczem lodyga pod ciężarem owocu. Do brzegu biurka sen przygniótł głowę, a potracony kajet westchnął kartkami i stoczył się na ziemię.

IX.

Między ociężałym rankiem, a rudym blaskiem zachodu przechlapał deszczowy dzień. Franek sterczał w domu, a raczej w swoim pokoju, czytając wiersze, które pisał poprzedniej nocy. Ich odległość od najboleśniejszych spraw nie pocieszała dziś. Wydawały się obce i niepotrzebne, nadęte obłudą i śmiesznie pretensjonalne.

Przez telefon wyklócił się z Leonem o drużynę footballową i zapowiedział, że noga jego nie postanie na boisku. Ma tego dość, a zresztą, wyjeżdża. Niech sobie kompletują, jak chcą!

Tymczasem jednak nie chciał spać na dno ciężar wczorajszej sprawy. Jedynie Marta była pełna łask i zapobiegliwej czułości. Tuliła głowę Franka do piersi miękkich, jak puchowy jasek, a chropawą ręką zdierała naskórek z policzków. Była dziś skłonna do wzruszeń, niczem panna młoda w dzień ślubu,

więc też tłuste plamy niebieskiego fartucha wędrowały raz poraz do oczu. Głos jej rozchłapywał się w łkaniach, niby bułka, umoczona w mleku.

Zaciągnęła nawet Franka do kuchni i szeptali tu sobie wśród zasmolonych garnków. Bo z Martą można było zawsze zacząć — od powijków i pieluch. Franek znał już swoje niemowlęstwo tak dokładnie, jakgdyby mu się przypatrywał własnymi oczami. Więc śmieszna tłustość nówek i uśmiech różowych dziąseł, i to pierwsze słowo, które właśnie było do niani, i całą zmyślność swojego dzieciństwa.

Jednakże w djarjuszu Marty były pewne luki, niby białe plamy w dzienniku, skonfiskowanym przez cenzurę. Widocznie, nie wszystko nadawało się, a tylko westchnienie, niby interludjum, łączyło okres z okresem. Opowieść rozrastała się jednak i nabierała smaków, gdy Franek sam już wypytywał o pewne szczegóły, aby potem rekonstruować sobie całokształt wydarzeń. Tą drogą dochodził do poznawania spraw tajemnych, ścieranych przemilczaniem.

Wiedział więc, że rozwód przeprowadzono we Lwowie i że liczył wtedy trzy lata. Potem mieszkali w Krakowie i że jakiś „pan mecenas“ uwijał się po tych krakowskich czasach. Marta wyjaśniła, że nic z tego nie wyszło, bo „ojczyzna dla dziecka ostrożniej trzeba wybierać, niż sobie kawalera na męża“. Potem był ktoś młody, którego czarne, pachnące wąsiki pamiętał Franek, jako nienawistną pieszcotę. O tym mówiła Marta: Wyjechał i przepadł, nawet kartki nie napisał. Mówiła jeszcze bardzo romantycznie, że wtedy było ciężko, bo matka jak w żałobie chodziła i świat stał się dla niej czarną trumną. Franek wyrozumiał poswojemu: Tego nicponia kochała matka!

Pluskająca wymowa Marty obryzgiwała, niby wrzątkiem. Wydarzenia — i te z dalekiej niepamięci i te najbliższe — można było pokolei wybierać, niby kamyki z jałowej gleby.

Albo i teraz. Marta umiała lekkim westchnieniem wywieść najaw pułkownika. Fałdy przy płaskim nosie złościły się wprawdzie w łaskawym uśmiechu, a ręce odbiegały od bioder, niby strzepując: A niech tam! Ale tuż zaraz trzeba było coś powiedzieć o wieku matki, że to niby z Martą rówieśne, i w ten sposób można było przed synem ośmieszyć całą sprawę.

Właściwie jednak dążyły rozmowy Marty do wyznaczonego celu. Bo jakkolwiek jest, trzeba po tem wczorajszym przeprosić matkę i lepiej już trzymać język za zębami, choć się i wie, że nie wszystko jest tak, jak Bóg przykazał. Medjatorstwo wydawało

się Marcie nie tyle zasługą, co własną ważnością w tym domu. Jej to bowiem przypadło w udziale burze domowe wygłaszać, niczem prześcieradło.

Podczas obiadu hałasowały talerze i zgrzytały noże, ale niczyje usta nie mogły pierwsze przemówić. Oczy musiały skakać, jak świerszcze, aby się zręcznie wzajem omijać. Więc Marta daremnie poszturchiwała brzuchem i coś tam wymrugiwała powiekami. Zielono - żółte listki sałaty jaśniały niezauważoną radością i Franek żuł przeróżne sposoby przeprosin, dławiąc się twardymi kęsami ambicji. Po obiedzie jednak cmoknął matkę w rękę.

Pod wieczór powlókł się do kina, bo w domu nieznośnie było z tym nastrojem winy, której nie można odwołać, ani jakąś pokutą naprawić. Wszył się w migot obrazu i wkrótce szczepił się z temi obcemi sprawami, jak z własnem, nieodstępnem cierpieniem. Grzechem żarte usta Veidta szeptały mu jakieś dzikie i chore tajemnice, które przecież znał tak, jak się zna stany gorączki. I dlatego można było wkońcu uwierzyć czarno - srebrnej kurzawie obrazu, że się samemu jest cieniem „Studenta z Pragi”. Czarny znak śmierci przylgnął do serca, zwierciadlany blask odbił się w oczach, które nie chciały już nic widzieć. Namiętność, głodna i odpychana od swoich pożądań, umierała w hańbie, a źrenice zła przepalały ekran, ciosami promieni godząc w ciżbę widzów.

Tłum cisnął się do drzwi i parł na siebie gorącym oddechem. Na ulicy każdy już będzie się ścigał z własnym cieniem, bo trzeba go mieć przed sobą, za sobą — jak wypadnie. Franek śledził kapryśność swojego cienia, nietrwałość jego wielkości, bezustanną jakby walkę o istnienie. Tak, sam sobie żyjąc, włókł się — to wydłużonym, to skurczonym kształtem, był monstrem i kaleką, był groźny i śmieszny. Przywiązany był do stóp, które nie miały przecież wyznaczonej drogi.

Franek wrócił do domu i już bez namysłu wszedł do pokoju matki. Tam, jak w szpony tygrysa, wpadł w krzykliwe uściski pułkownika. Żółty, buremi i złotemi centkami zasiany, iście dżunglowy opar napełniał pokój. Franek, odrazu zlany potem, dysząc, jak napadnięty zwierz, walił gniewnemi oczyma to w matkę, to w Jerzego. Poddawali mu mile uśmiechnięte, niewinne twarze i wabili uspakajającemi słówkami: Gdzie był? Czy dobry obraz? I, jak mu smakuje swoboda? — Ale on dopadł wreszcie tych dwu róż, leżących przy ręce matki na kozetce i z rozważnem okrucieństwem jał obrywać listek po listeczku aż do żółtego pyłu pręcików, aż do samej białawej głębi serca.

— Nie niszczyć kwiatów — uśmiechnęła się matka.

Pułkownik mruknął nieszczere: „Nic nie szkodzi”, a Franek czuł, że obojgu tak trudno udźwignąć jego obecność. Kąkami źrenic podpatrywał ich bezradne ruchy. Gwiazdeczki ostróg, wyrosłe z czarnego

pnia butów, wryły się w deseń dywanu, a fioletowy puszek na pantoflach dygotał, jak kwiat, szarpany wiatrem. Można się tak było litować nad nimi, a jednocześnie odczuwać złośliwą radość z triumfu, odniesionego już tylko samą swoją obecnością. Miał prawo być tu z nimi, miał prawo psuć ich samnasam, miał prawo powiedzieć, co o tem myśli! Milczał jednak i ciężarem swojego milczenia, jak kamień w polu, grodził swoje prawa od praw intruza.

„Intruz” wstał wreszcie i pożegnał się. Franek wyczekał, dopóki matka nie wróciła z przedpokoju i gładziutko, bez wielkich wzruszeń, wygłosił formułę przeprosin.

— Bardzo mnie martwisz — powiedziała cicho.

Nie mógł już powściągnąć tej chęci, która nagle poderwała się w nim i buchnęła wyraźną mową:

— To ty mnie martwisz, ty!

Ale Zofja nie sprzeciwiła się jego krzykowi. Wysłuchiwała każdy dźwięk głosu, uniesionego bólem, aby poraz pierwszy zrozumieć, że nie dotąd nie wiedziała o niebezpieczeństwie, grożącym jej tak blisko.

X.

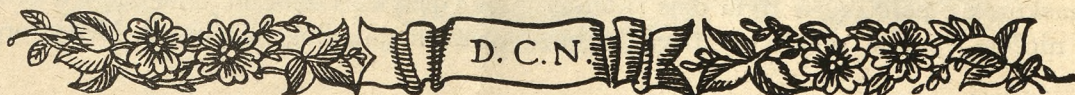
— Lwów jest zielony i jasny!

Adonis był pierwszy raz we Lwowie, a Franek ciceronował, żeby mu w jednym dniu pokazać jak najwięcej z tego Lwowa.

Po krostowatych ścieżkach wysapali się pod górę, na Plac Targów, a bokiem zazierali w zieloną gęstwinę Parku Kilińskiego. Na Placu smęciły się puste pawilony, śmieszne domki białe i kolorowe, ażurowe kolumnady, wypełnione niebieskiem powietrzem. Spłowiałe reklamy obwoływały już ostatnim tchem jakieś płótna, smary i maszyny.

Niebo opadło płasko i grzało, niby kokosz, puszystymi skrzydłami obłoków. Grzecznie przyszyte szpalery powiodły do Panoramy Raclawickiej, a wydęta kopuła okryła obu młodzieńców cieniem, jak parasol.

Złoto-liljowy pył osiadł na oczach i trzeba było przez opal mgły wdzierać się w dal krajobrazu. Pociągając się w zaduchu niewentylowanej hali, uwierzyli w chłód wiosennego, raclawickiego poranka. W oczach trwał zastygły tumult bitwy, a pochylony marsz krakusów i martwy blask kos cięły się skośnymi linjami przekątni. Nogi rumaka, na którym siedział Naczelnik, zeszytywniały już w wiekiustym bezruchu i jak za matową szybą, jak pod ochronnym kloszem na wieki zakrzepły w odwrocie oliwkowo-zielone mundury jęgrów. Pozostała czyjaś śmierć niedoskonana, jakieś dymy, nigdy nierozpierzchłe. Raz jeszcze, raz jeszcze kurczy się twarz od płomiennych drgawek, a krzyk rozrywa sine usta.



HISTORJA MŁODZIENCZEJ MIŁOŚCI GENERAŁA JÓZEFA BEMA

Był to dowód, że karjera jego wojskowa pod rządami Wielkiego Księcia skończyła się, że jest źle opinjowany, źle widziany w wojsku. Ale upływa jeszcze parę lat, nim uda mu się uzyskać całkowitą dymisję, ażeby stać się nareszcie człowiekiem wolnym, nie przywiązany przymusowo do garnizonów w Kozienicach, czy w Kocku. Dopiero w 1826 roku, po pojedynku pod Warszawą, w którym nasz kapitan zastrzelił swego przeciwnika, sam zaś został też ciężko ranny — Wielki Książę Konstanty zdecydował się podpisać mu dymisję z tem, ażeby wyniósł się po za granice kraju. Przedtem jednak ukarał go jeszcze aresztem, do którego zabrano go „z gościnnego” jego pokoju na Lesznie, gdzie ranny znajdował się znowu pod opieką swojej ukochanej.

Żegna ją teraz na długie lata, odjeżdżając do stryja swego z linii galicyjskiej, do prałata lwowskiego, Bema, który oddaje w dzierżawę ex-kapitanowi wieś Basiówkę pod Lwowem.

W tym okresie 1826—1830 zbliża się Józef Bem z młodszym swym bratem stryjecznym z „galicyjskiej” linii *), a swym imiennikiem Józefem Bemem, właścicielem Manojowa w Złoczowskim powiecie. Do ojca i do prawego swego dziedzictwa, dóbr Słabkowic, bohater nasz nie wraca i nie wróci więcej. Rozsiadła się tam już wszechwładna macocha i zdołała ostatecznie poróżnić starego Andrzeja Bema z „nieudanym” jego synem.

Ten syn „nieudany”, na wieść o wybuchu w 1830 r. powstania w Królestwie Kongresowem w Warszawie, likwiduje wszystkie swoje sprawy w Galicji, przekracza granicę Królestwa i w dzień bitwy pod Grochowem staje w stolicy, gdzie natychmiast otrzymuje z rąk ówczesnego wodza naczelnego, Michała ks. Radziwiłła, nominację na majora i dowódcę baterji artylerji konnej gwardji.

W parę miesięcy potem wsławia się pod Iganiami i znowu po paru miesiącach cała już Polska mówi z entuzjazmem o czynach jego w bitwie pod Ostrołęką. Jest już pułkownikiem i niebawem zostaje szefem całej artylerji polskiej, awansując w napoleońskim tempie, generalskie przywdziewając epolety, będąc już wymienianym, jako kandydat na Naczelnego Wodza W. P.

W Warszawie na krótkie dni powrotów z pola

*) Z linii tej żyjący obecnie b. dziedzic Manojowa, Władysław Bem, wraz ze swą siostrą i dwojgiem dorastających dzieci są ostatnimi reprezentantami „młodszych” potomków rodu generała Bema.



Róża z hr. Bemów de Cosban Balicka, długoletni ideał generała Bema (według portretu z 1825 r.)

chwały ma zawsze dawny swój porucznikowski „gościnnie” pokój na Lesznie. Pozostaje w nim aż do chwili, kiedy obrona szanów Warszawy wymaga prawie ciągłej obecności jego w kwaterze sztabu głównego — wtedy to dopiero przenosi się do apartamentów sztabowych.

Lecz zanim ta chwila nadejdzie, powracający, szczerzyli od prochu z pod Igan i Ostrołęki, bohater dąży tam, gdzie „jego ideał” spotyka go zawsze radosnym uśmiechem, gdzie teraz mogą być bardziej sami, niż byli kiedykolwiek dotąd. Lojalny bowiem w stosunku do władz cesarskich rotmistrz Balicki jeszcze z dniem wybuchu powstania odmaszerował za Bug z wojskami Wielkiego Księcia, pozostawiając żonę z dziećmi w Warszawie i odtąd słuch o nim na długie miesiące zaginął *). Obaj bracia pani Róży byli też prawie zawsze nieobecni, gdyż starszy,

*) Z małżeństwa tego było dwoje dzieci: syn, który, dorósłszy, wybrał karierę wojskową i dosłużył się rangi generała artylerji wojsk ces. rosyjskich, i córka, która wyszła zamąż w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia za radcę dworu Lubicz-Sarnowskiego. Ona to w r. 1856 nabyła historyczny pałacyk na Lesznie od Jakóba Bema de Cosban, zaś po jej śmierci na początku bieżącego stulecia, drogą zapisu, dostał się ten pałacyk Tow. Dobroczynności z tem, że utworzone tam zostało gniazdo sieroc imienia ś. p. Sarnowskiej.

Józef-Antoni**), na ćwiczeniach w szeregach gwardji narodowej, młodszy, Jakób — w polu, w kawalerji; matka zaś jej, Franciszkowa Bem de Cosban, nie opuszczająca już swoich pokojów, każe na długie nieraz godziny przyprowadzać do siebie swe małe wnuczeta — małych Balickich, weseli się ich dziecięcym szczebiotem, raduje się ich wiośnianym śmiechem.

A tam, na górnem piętrze, „oni dwoje“ pozostają sami dla siebie. Rozwijający swe orle skrzydła wielki wódz i rycerz o głębokiej duszy snuje obok swojej wybranki, która tak dobrze zna go i rozumie, wielkie plany na przyszłość, plany nie ku zaspokojeniu własnych ambicyj, lecz ku Ojczyzny chwale. Ona słucha go w skupieniu, zasunięta w głęboki, staroświecki fotel, wpatrzona w płonąca entuzjazmem twarz jego. Wilgotnieją wtedy piękne, jasne jej oczy i czuje, jak drogim jest dla niej ten twardy żołnierz-wódz, ten bohater-patrjota; jak wydaje się pociągającym z tym ogniem, którym twarz jego płonie, pomimo, że przerzedziły mu się już włosy nad wyniosłem czołem, pomimo, że twarz ta jest już teraz szramami zeszpecona. Czuje, że kocha w nim wielkość jego zamierzeń, wielkość jego ducha. I może przychodzą chwile, kiedy oboje, w ostateczne zwycięstwo wierząc, nieśmiało sięgają i do utrwalenia własnego ich szczęścia w przyszłości tak, by nic nie mogło ich już dzielić.

Tymczasem nie wiedzą, że te rzadkie dnie, które mogą spędzać razem, te krótkie, jakby wykradzione tylko godziny, są ich wspólnymi ostatnimi godzinami. Niebawem prysną marzenia — nastąpi kapitulacja Warszawy i ostatnie ich pożegnanie w pałacyku na Lesznie. Bolesne pożegnanie. Wojska polskie opuszczą Warszawę, a w parę godzin później wejdą na ich miejsce rosyjskie pułki — przymaszeruje, powróci mąż — rotmistrz Balicki.

Skończy się pieśń — przerwana tym razem na zawsze.

Tylko nasz generał, choć ze skrwawionem sercem, lecz z właściwą mu zawsze wiarą w lepszą przyszłość i teraz jeszcze nie upadnie na duchu. Świadectwem tego jest jego list, adresowany: „Do JWP. porucznika Jakóba hr. Bem de Cosban w sztabie korpusu 2-go Jazdy“, który brzmi dosłownie, jak następuje:

„Suszyce, d. 18 września 1831 r.

Mój Kochany Jakóbie! W tej chwili podano mi list, w którym wobec decyzji gen. Łubieńskiego zapytuiesz mnie o radę. Otóż nie odradzam Ci korzystać z amnestyi, ale w tym iedynie celu, abyś, pozostając w Warszawie, w niedalekiej przyszłości więk-

sze mógł oddać Ojczyźnie usługi, niż w woysku, które z dniem każdym traci wiarę w odegranie się nasze i już naywidoczniej bić się nie chce. Piszę Ci o tem, bo widzę, ku czemu naywidoczniej wszystko się kłoni. Dlatego to i ia odmówiłem przyięcia buławy naczelnego wodza, którą mi teraz proponowali, bo zbyt późno, bym zdołał wszystkie błędy naprawić. Iednakże nie znaczy to, by sprawa nasza była ostatecznie przegrana, trzeba ią będzie tylko zacząć od początku, wszystko inaczej organizując i popełnionych błędów się wystrzegając. Ufam też, że choć zaledwie dwudziesty drugi rok liczysz sobie, iednakże przy Twey wrodzonej rozwadze i patryotyźmie, w którym Cię wychowano, będziesz mógł, pozostając w Warszawie przed nowym rozpoczęciem walki tak, iak ia ią myślę poprowadzić, wielkie sprawie naszej oddać usługi, postępując wedle instrukcyi poufney, którą Cię wówczas obarczę, co tym lepiej się składa, iż jako oficer młody i w latach poprzednich niezem politycznie nie skompromitowany, nie będziesz wzbudzać specjalnych podeyrzeń. Złóż więc prośbę o dymisyę i bądź spokojny, że ieżeli dla tych celów chwilowo opuścisz szeregi Woyska Polskiego, to nie rzucisz tem cienia na nasze rodowe nazwisko, które to z woli losu Ty właśnie musisz reprezentować. Tak więc, mój chłopcze, nie poddaway się smutnym myślom, wierz mi, Polska nie zginie, tylko pracować dla niey musimy, sił nie oszczędzając. Ściskam Cię, a kiedy przybędziesz do Warszawy, **pożegnay i ucałuy odemnie raz jeszcze Twoią siostrę Rózię, po której teź adresem przyślę przez zaufarego człowieka dalsze instrukcyę.** (—) J. Bem“.

A więc na kilka dni jeszcze przed upadkiem powstania, przed przekroczeniem pruskiej granicy, kiedy wszyscy prawie wyżsi dowódcy polscy upadali już na duchu — nasz niezłomny bohater wierzy w „odegranie się“ i w to, że Polska nie może zginąć, byleby pracować dla Niej, „sił nie oszczędzając“. I równocześnie biegnie raz jeszcze myśl jego do tej, którą przed laty poznał tam, w dalekiej, pozostałej za nim Warszawie, a którą teraz w tej Warszawie pożegnał na niewiadomo jak długie lata — do tej, która była mu najlepszą przyjaciółką, której powierzał najtajniejsze zamierzenia.

Nie zobaczył jej więcej już nigdy. Podobno dwa, czy trzy listy przysłał „przez okazję“ z wiadomościami o sobie w późniejszych emigracyjnych latach. Ale naogół generał ostrożny był w korespondowaniu z tymi, co byli mu bliscy, a pozostali po powstaniu pod zaborem rosyjskim. Wiedział, jak naraża te osoby korespondowaniem z nim w razie wykrycia korespondencji przez szpiegów.

Mijały lata. Włosy naszego bohatera przyprószyła siwizna. Był już stary, choć zawsze młody duchem, był zawsze romantykiem. Z tą teź niezmiennością ducha rzucił się w wir wypadków 1848 roku, które mu dały wiekopomną sławę na Węgrzech.

**) Wymieniony tu Józef-Antoni umarł w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia, pozostawiając tylko jedyną córkę Annę Bem de Cosban, zamężną następnie za Antonim Czarnotą-Bojarskim.

Czy równie niezmiennem pozostawało w nim i dawne długoletnie jego uczucie ku pięknej bratanicy — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że przez resztę życia przeszedł sam, że nie lubił towarzystwa kobiecego, chociaż był zawsze dla pań, jeżeli się już wśród nich znalazł, z wersalską galanterją. I dopiero po emigracji z Węgier, już na tureckiej ziemi, podobno wplątała się w życie jego, a raczej w ostatnie przedzgonne miesiące jego życia, w Aleppo, nieznana bliżej jakaś tureczka, o której nic pewnego nie wiadomo, skąd się wzięła i kim była.

To jednak pewne, że nie mogła być tem, czem długoletnie, z młodzieńczych lat zrodzone uczucie,

oparte na całkowitem zrozumieniu się rozdzielonych tylko przez kaprys losu — dwojga istot.

Tak wygląda historia jedynej znanej miłości generała Bema, oparta na „pożółkłych kartkach“, cicho spoczywających wśród pamiątek rodzinnych*).

*) Wprawdzie utalentowany autor pełnego wojennej werwy „Huraganu“, p. Wacław Gąsiorowski, w innej swej, mniej udatnej, historycznej powieści p. t. „Bem“ — każe naszemu bohaterowi kochać się w czasie powstania listopadowego najpierw w słynnej Honoracie, a potem w żonie jakiegoś kapitana żandarmerji — jednak, nie ubliżając autorowi, pomysły te możemy zaliczyć do „historji bajecznej“, lub do własnej autora fantazji, zarówno jak i niektóre inne szczegóły, tamże podane, a dotyczące postaci generała Bema.

KAMALINI SHRINAGAMIR

LISTY Z NAD GANGI

IV.

Kobiety nasze znają się również na leczeniu. Babka moja kurowała sama wszystkich domowników lekami, które przyrządzała z przeróżnych ziół i korzeni. O skuteczności jej medykamentów świadczy najpochlebniej fakt, iż mój ojciec i jego rodzeństwo dożyli wszyscy tak sędziwego wieku, jak 80, a nawet 92 lat.

Widzi więc Pani, jak wiele ma hinduska zajęcia w domu. A musi pracować w tak upalnym klimacie, o jakim wy, mieszkańcy Północy, nie macie nawet pojęcia. Każda czynność wymaga od niej o wiele większego wysiłku, niż u was.

To też powierzchowny obserwator naszego życia twierdzi na podstawie tych faktów, że hinduska jest w swym domu sługą i niewolnicą. Zaharowana, nie ma czasu pomyśleć o sobie, zająć się rozwojem swej indywidualności, pielęgnować zdolności czy upodobania.

Nic bardziej mylnego, niż to mniemanie. Hinduska żyje wprost obowiązkiem. Praca — obowiązek jest dla niej świętością. Spełnia go radośnie, jako swój udział w Wielkiej Pracy, podtrzymującej świat cały przy życiu. Azali może istnieć większa radość, ponad tę, jaką nam niesie praca, spełniana dla tych, których nade wszystko kochamy?

Spełniając od dzieciństwa te same czynności, nabiera w nich z czasem takiej wprawy, iż wykonywa je bardzo szybko. To też wśród tych rozlicznych zatrudnień hinduska znajduje jeszcze czas na zajmowanie się sztuką. Hinduska kocha i odczuwa piękno; wiele naszych kobiet jest obdarzonych wybitnymi zdolnościami artystycznymi, które przejawiają się w muzyce, tańcu i artyźmie rzemiosła.

Wyraz swemu umiłowaniu piękna daje hinduska

przedewszystkiem w stroju. Kocha się wprost w barwnych, jedwabnych materjach, z których szyje swe „saree“, kocha w haftach, misternych koronkach i klejnotach. Nosi ich moc. Pierścienie, bransolety, naszyjniki i zausznice, djademy i brosze. Stroi się w nie od rana, idąc na targ, czy do szkoły. Tak przystrojona, zdaje się być często raczej hieratycznym posążkiem bóstwa, niż żywą istotą. Te klejnoty, prawdziwe, zarówno jak imitacja, stanowią jej najdrogocenniejsze skarby.

Dbą również o przyozdobienie swego mieszkania; służą jej ku temu kwiaty oraz wiele drobnych, artystycznych przedmiotów, w których wytwarzaniu celują nasi rzemieślnicy, a które są przeważnie dziełem niestrudzonych rąk naszych kobiet.

Chociaż nie potrzebuje tkać dziś materiałów na odzienie, tka jednak często z zamiłowania, tworząc istne poematy barw i deseni. Tkanie jest dla niej sztuką, niemal religijnym obrzędem. Z pietyzmem przechowuje zwierzone jej odwieczne tajemnice przyrządzania nigdy nie blaknących barwników, nie czerniących srebrnych i złotych nici. Tka przy dźwiękach muzyki i pieśni, starając się odtworzyć barwami i misternym deseniem harmonję i rytm zasłyszanej melodji. Pracuje w natchnieniu, to też z pod rąk jej wychodzą dzieła o istotnej, artystycznej, nieprzemijającej wartości. Widziałam szale jedwabne, nazwane „Świt“, oraz „Ocean i rzeka“; widziałam mieniające się wszystkimi barwami tęczy, a jednak przejście od jednej barwy do drugiej było tak subtelne, iż niedostrzegalne dla oka.

Niestety, dawne artystyczne urządzenia wewnątrz poczynają dziś zanikać, wypierane przez obce, tandetne meble. Nasza młodzież, bowiem, wychowana w europejskich szkołach, zaczyna się wstydzić ro-

dzimej kultury i nagwałt przejmować obce wzory, zarówno w ubiorze, jak umeblowaniu.

I tu kobieta stać musi na straży, aby swym wpływem ratować, co się da jeszcze uratować. Źle dzieje się tam, gdzie kobieta, obojętna na te objawy wynarodawiania, lub zbyt nieśmiała, aby przeciwstawić się woli męża, dopomaga mu w tem dziele europeizacji.

Hinduska kocha również taniec. Nie ma on atoli nic wspólnego z waszemi salonowymi tańcami. Jest to raczej pantomina, zbliżona do eurytmji, rytmiczny gest i poza, przy których pomocy tanecznica stara się wyrazić nastroj i treść hymnu lub poematu. Tak pojęty taniec jest integralną częścią naszych obrzędów religijnych, oraz głównym momentem wszelkich obchodów narodowych.

Teatr i taniec — to ulubione rozrywki hindusów. Ponieważ mieszkanki purdhy nie mogą uczęszczać na publiczne widowiska, często więc urządzają w domu amatorskie popisy, stojące nierzadko na wysokim artystycznym poziomie. Przedstawienie zaczyna się zwykle wieczorem, a trwa nieraz aż do rana, bowiem artystka, twórczą w natchnieniu, zapamiętywa się w tańcu, a nikt z zachwyconych widzów nie śmie i nie chce jej przerywać.

W dawnych, szczęśliwszych czasach świetności Aryawarty, w każdej wsi była szkoła, chodzić więc do niej mogły nawet dziewczęta, w purdzie mieszkające. Tak było jeszcze w 1813 i 1834 roku. Dziś, gdy władze skasowały „panchamaty“ (samorządy wiejskie) i rozdzieliły między pojedynczych właścicieli ziemię, będącą ongiś wspólną własnością całej wsi — niema już komu dbać o szkoły. Zubożała ludność nie stać na ich utrzymanie. Dziś zaledwo co szosta wieś ma szkołę, a że wsie są bardzo od siebie oddalone — nieraz o kilkadziesiąt kilometrów — dziewczynki więc nie mogą wcale do nich uczęszczać. Dlatego tak wiele jest wśród nich analfabetek. Aby zaradzić temu, powstaje dziś wiele szkół w domach prywatnych. Garną się do nich zarówno dziewczęta, jak i dorosłe kobiety. Uczą się z zapałem; po ukończeniu tych szkół elementarnych uczęszczają na kursy dokształcające i wykłady. Ponieważ matki nie rozstają się nigdy ze swymi małymi dziećmi, zabierają je również do szkoły lub na wykład i nie wstydzą się karmić ich publicznie.

W kobietach naszych obudził się dziś potężny głód wiedzy. Aby go zaspokoić, gotowe są one ponieść wszelkie ofiary. Często idą do szkoły w samo południe, jeśli zajęcia domowe absorbują je o innej porze dnia. Córki inteligencji otrzymują dziś bardzo staranne wykształcenie. Kończą nie tylko gimnazja, lecz również i wyższe zakłady naukowe, udają się nierzadko na dalsze studia do Europy. Wróciwszy do kraju, obejmują odpowiedzialne stanowiska w szkolnictwie, sądownictwie, a nawet wolnych zawodach.

Tak płynie życie kobiet naszych.

Ciche, pracowite, lecz nie jednostajne. Nawet w „zenanie“ składa się ono z wielu różnorodnych ele-

mentów. Dzień się zaczyna o szarym brzasku, gdy gwiazdy zaledwie błędnąć poczynają. Kąpiel rytualna, wspólna modlitwa. A potem praca, nieraz żmudna i uciążliwa, lecz zawsze pełniona radośnie i z pogodą. Temu spokojnemu, cichemu trybowi życia rodziny hinduskiej zagraża dziś poważne niebezpieczeństwo. Źródłem jego jest obca szkoła. Nauka europejska, przesiąknięta nawskroś materjalizmem, lekceważącym wszelką religję, szczepi w dusze młodzieży naszej niewiarę i zwątpienie. Na domiar złego wykładowcami są cudzoziemcy, przejęci pogardą dla naszej religji i narodowości. I tę pogardę starają się wpoić w uczeni swoich. Niestety, wielu naszych chłopców, obśnionych potęgą Imperjum, wspaniałością cywilizacji europejskiej, a mniej odpornych duchowo na obce wpływy, staje się gorącymi wyznawcami poglądów nauczycieli. Z politowaniem i pogardą patrzą oni na religijne praktyki domowników, gorliwie propagując wyniesiony ze szkoły materjalistyczny światopogląd.

Rozpacz ogarnia nieszczęśliwą matkę, gdy widzi, jak obca szkoła kradnie duszę jej dziecka, a rozdźwięk i dysharmonja wkradają się do rodziny, rozbijając jej jedność duchową.

I to jednak nie wszystko jeszcze.

Ten stan rzeczy wyrządza dotkliwą krzywdę kobiecie, zwłaszcza tej, w purdzie mieszkającej. Odrodzona od świata, jest ona w swem religijnem i intelektualnem życiu całkowicie zależna od męża lub syna. Tracąc doń zaufanie, traci jedyne powiernika i doradcę. Cierpi na tem zwłaszcza bardzo jej religijne wykształcenie. Religja jej, pozbawiona intelektualnych podstaw — tak niezmiernie doniosłych w hinduizmie, gdzie zewnętrzna forma obrzędów jest jeno symbolem głębokich prawd kosmicznych — wyradza się stopniowo w czezy, formalistyczny sentymentalizm, nie dający jej ostoji, ni oparcia w godzinę burz i klęski.

Mówiąc o życiu kobiet, nie sposób mi pominąć milczeniem strasznych warunków, wśród których, po wielkich miastach, żyć muszą rodziny robotników fabrycznych i wyrobników. Ten proletarjat miejski — milionowe rzesze nędzarzy — to ofiary ekonomicznego kryzysu, który wstrząsnął podwalinami bytu wsi hinduskiej, na skutek radykalnej reformy jej ustroju. Kto nie zwiedził np. robotniczej dzielnicy Bombaju, ten nie może mieć pojęcia o skrajnej nędzy, panującej wśród tych wynędzniałych rzesz, źle płatnych, nie mających stałych zarobków, wiecznie głodnych, dziesiątkowanych przez choroby. Perjasi, shudrowie, a często nawet członkowie wyższych kast gnieździć się muszą w ohydnych norach, których stan urąga wszelkim elementarnym warunkom kulturalnym.

Przeciętny ich wiek wynosi zaledwie 30 lat, a śmiertelność wśród kobiet i dzieci jest wprost przerażająca: dość chyba powiedzieć, że umiera tam 80% niemowląt.

Z ŻYCIA EKRANU

(Wielki Niemowa — przemówi).

Szał filmów mówionych i dźwiękowych, po doszczętnym opanowaniu Ameryki, przenosi się już do Europy. Paryż jest, podobno, oczarowany tą najnowszą sztuką (!?), którą tymczasem ma możliwość oglądać, a raczej słyszeć, tylko na Wielkich Bulwarach i tylko — z drugiej ręki (w produkcji amerykańskiej); zaś Niemcy, którzy, jak zwykle, najszybciej adaptują i popularyzują cudze wynalazki, budują już własne aparaty, w które gotowi są zaopatrzyć całą Europę, i obiecują, że większa część ich tegorocznej produkcji nie będzie już „niema“.

O różnego rodzaju „vitapkonach“ słyzy się już od paru lat, ale dotychczas próby jednoczesnego oddawania ruchu i dźwięku, traktowało się, jako eksperyment, po którym nie można się spodziewać wzbogacenia wrażeń artystycznych, raczej — przeciwnie. Miłośnicy kina odnosili się do tych prób przerwania mileżenia X Muzy mniej więcej taksamo, jak do prób filmu kolorowego, a więc — z lekką pogardą. I nagle słyszemy, że na niemotę filmu zapadł bezapelacyjny wyrok: ponieważ wszystkie trudności techniczne zostały przecięzione, niema powodu uważać za cnotę tego, co było „kalectwem“, wobec czego należy uznać filmy mówione i dźwiękowe za *postęp* w stosunku do filmów niemych. Takie jest hasło dnia.

A jednak doznaje się wrażenia, że zaszło tu coś podobnego, jak w znanej anegdotce, gdzie operacja się udała, ale chory... umarł. Czy operacja, dokonana tak „szczęśliwie“ na Wielkim Niemowie, nie grozi mu przypadkiem śmiercią, a przynajmniej długotrwałą chorobą?

Trudno jest sądzić coś, czego się nie zna; jednak są pewne przesłanki, z których można wyciągnąć wnioski, mające cechy prawdopodobieństwa. Spróbujmy je rozpatrzyć.

Film mówiony i dźwiękowy narodził się z... wojny między wielkimi amerykańskimi koncernami filmowymi. Jeden z nich („Warner Brothers“), czując się zagrożonym przez konkurencję, zaryzykował olbrzymie sumy na eksploatację nowego pomysłu. Postawił wszystko na jedną kartę i — wygrał. W przeciągu roku Towarzystwo Warner Brothers zarobiło 12 milionów dolarów. Wkrótce inni musieli też przystosować swą produkcję do nowego „kursu“, ażeby nie pozostać w tyle.

Taki był początek. Ale nie to jest okolicznością obciążającą, że twórcami tej „nowej sztuki“ są przemysłowcy, a nie artyści. Taka zamiana ról zdarza się czasem. Czytałam niedawno, że wynaleziono jakiś cudowny przyrząd, który pozwoli niewidomym widzieć, zaś wynalazcą jest nie lekarz - oftalmolog, ani — fizyk, tylko... architekt.

Tem, co każe odnosić się do „artyzmu“ filmu mówionego z pewnym sceptyzmem — jest fakt, że „talkie“ paczy samą ideę kina: przeciwstawiając wrażenia słuchowe wrażeniom wzrokowym, przekreśla dotychczasowy dorobek filmu, jako sztuki naukowej wizualnej, i zatamowuje jej dalszy rozwój.

Z chwilą, kiedy główną atrakcją, nowością i cudem niedławię, staje się to, że można będzie w kinie, naprz. w Warszawie nie tylko widzieć Raquel Meller, ale słyszeć jednocześnie śpiewaną przez nią piosenkę — wszystko to, co się będzie działo na ekranie pozatym, będzie musiało zejść na plan dalszy. *Ważne* będzie tylko to, co będzie mówione lub śpiewane. Producenci filmów, zamiast przelicytowywać się w zdobywaniu najlepszych, twórczych reżyserów, będą „wyrwali“ sobie najsławniejszych śpiewaków, śpiewaczki i „diseuse’y“. Scenarzyści będą musieli pisać takie scenariusze, w których słowo mówione i śpiewane będzie odgrywało największą rolę. Nawet w najszcześniejszym wypadku, t. j. kiedy teksty te będą dowcipne, a nawet będą miały wartość literacką lub muzyczną — film stanie się surogatem komedji albo operetki, stanie się surogatem *teatru*.

A przecież dążeniem filmu było wyzwolenie się z pod wpływów teatru i literatury, co, choć powoli, jednak zaczynało się realizować. „Organem mowy“ filmu stał się aparat, zaś językiem — obrazy. Realizatorzy filmowi zdobywali coraz większą łatwość w porozumiewaniu się z widzami tylko przy pomocy zdjęć z różnie nastawionego aparatu, przy pomocy światła i montażu. Bez słów potrafił wżruszać, rozśmieszać, nawet — prowadzić propagandę; obraz stał się do tego stopnia „samodzielnym“.

I nagle trzeba będzie z tej drogi zawrócić. Bo skoro punkt ciężkości zostanie przeniesiony na dźwięk i słowo, producenci filmów będą się starali znaleźć dla nich jaknajwięcej zastosowania. Bohaterkami scenariuszy staną się prawdopodobnie głównie śpiewaczki lub aktorki, ażeby wszelkie wkładki mówione i śpiewane miały jakieś logiczne uzasadnienie. Cała olbrzymia skala mimiki, tak pogłębiona i wysubtelniona przez tych, których siłą i czarem była ich niemota — wobec „żywego słowa“ straci rację bytu.

A jednak właśnie tylko gra ciała pozwoliła nam poznać lepiej, niż wszelkie słowa, niewyczerpany witalizm takich typów, jakie odtwarza Douglas Fairbanks, a niektóre drobne ruchy rąk Liljany Gish powiedziały nam więcej o psychice bezradnej dziewczęcości, niż cały rozdział z podręcznika psychologii. Na cóż zda się „muzyczność“ postaci Dolores del Rio, skoro nikt nie będzie myślał o tem, żeby ją wzrokowo wyzyskać, skierowując całą uwagę na to, co Dolores będzie mogła dać *sluchaczom*, nie — widzom. A co stanie się z „mandragoryczną“, „uroczną“ Brygidą Helm? Z chwilą, kiedy przemówi, straci może swą syrenią moc i stanie się zwykłą kobietą, w której oczach pojawią się łzy, w której piersiach zabije serce. Jakie to słowa usłyszymy z ust Chaplina? Jakie słowa będą mogły sprawić, że stanie się nam bliższym i bardziej zrozumiałym, niż był dotąd?

Nie, naprawdę, trudno jest nie mieć żalu do tego nieznanego „talkies’a“, który chce nam tyle zabrać, a niewiadomo, co przyniesie!

Przychylniej od filmu mówionego możemy powitać film dźwiękowy, o ile znajdzie także i inne zastosowanie, prócz twórczenia surogatu operetki. Przedewszystkiem, oddawanie naturalnych dźwięków przyrody może być istotnym uzupełnieniem filmu niemego: szum fal, plusk deszczu, szelest liści, wycie wicheru — niewątpliwie spotęgują wrażenie.

Tak samo reakcje dźwiękowe w zbiorowisku ludzkim — zgiełk jarmarku, pomruk gniewu tłumu, okrzyki entuzjazmu, modlitewna ekstaza i t. p. (Chociaż z drugiej strony — łatwo osiągalny efekt może demoralizująco podziałać na inwencję reżyserów). Ale może w dźwiękach tych i odgłosach można będzie też stosować selekcję, operować słuchowym montażem; może będzie można rozkładać je dowolnie i łączyć; może okaże się, że w przyrodzie też są jakieś głosy, których nie spostrzegamy, tak jak nie spostrzegaliśmy bogactwa i różnorodności ruchu, albo różnych subtelności w grze mięśni, dopóki nie „odkrył“ nam tego ekran.

Możliwe, że wyobrażam sobie to wszystko fałszywie i że film dźwiękowy pójdzie jakąś inną drogą; ale w każdym razie w połączeniu dźwięku z obrazem ruchomym kryją się jakieś możliwości artystyczne, poza — technicznymi. W filmie mówionym tych możliwości nie widzę i zdaje mi się, że ten — bądź co bądź, doniosły wynalazek powinno się traktować w zupełnym oderwaniu od *sztuki* kinematograficznej.

Szerokie zastosowanie może on mieć w filmach dokumentalnych i t. zw. aktualnościach. Za sto lat będzie można słyszeć mowy, wygłaszane dzisiaj z racji różnych uroczystości, przez współczesnych nam mężów stanu, uczonych i artystów, a jednocześnie przekonać się, jak wyglądali i ruszali się, jaki mieli głos i sposób mówienia. Gdyby wynalazek filmów dźwiękowych i mówionych znany był przed wiekiem, moglibyśmy

dziś słuchać wykładów paryskich Mickiewicza, albo widzieć Chopina grającego i słuchać go jednocześnie.

„Czas nie da się zatrzymać“, albo „czas płynie nieubłaganie naprzód“ — będą to już tylko zwroty retoryczne, bo właśnie każde zdarzenie da się utrwalić w czasie i przestrzeni, i będzie można nawet niejednokrotnie je „wskrzeszać“, tak jak można wielokrotnie odczytywać ustępy książki, która raz została wydrukowana.

Tak, film dźwiękowy i mówiony jest to cudowny wynalazek, ale czy istotnie przyniesie coś sztuce filmowej — najbliższa przyszłość dopiero wykaże. Jedno tylko jest pewne, że dzięki niemu wystarczy być choćby jednodniową sławą, ażeby osiągnąć „nieśmiertelność“, którą dawniej zdobywali tylko wybrani. Wszystko widocznie się popularyzuje.

Stef. H.



TEATR MAŁY.

„Śluby panińskie“ — Aleksandra Fredry. Reżyserja Stanisławskiego, dekoracje Frycza.

Wznowienie „Ślubów“ jest początkiem szeregu uroczystych przedstawień, urządzanych przez dyrekcję teatrów Polskiego i Małego w celu uczczenia twórcy sceny narodowej — Wojciecha Bogusławskiego.

Podobało się dyrekcji nazwać to festiwalem. Mniejsza o nazwę, skoro nie zdołała ona ściągnąć nawet wszystkich recenzentów. Ważniejszym jest to, że dano nam znowu w świeżej i pełnej pietyzmu oprawie ujrzeć perłę twórczości Fredry, w której sarmacki temperament i słowiańska uczuciowość idzie o lepsze z istic francuską finezją. Otworzył znowu przed nami swoje wnętrze zaciszny salonik pani Dobrójskiej, w którym rozgrwa się ten nieporównany kontredans czworga serc, z jedną zapasową parą w odwodzie (pani Dobrójska i Radosć). Zobaczyliśmy, jak wyglądał wielki polski romantyzm bez koturnów, na użytek codzienny, jako towarzyska forma kojarzenia par. Powiało na nas technieniem salonowej Liedermayerowskiej idylli, w której jest więcej zapachu polnych kwiatów, niż perfum i gdzie pod obłokiem muślinowych sukienek i pod wylogami barwnych surdutów biją serca proste, szczerze, lecące do miłości, jak muchy do miodu.

Tyle już o „Ślubach“ napisano foljałów, tak ich duszę do dna niemal zgłębił Grzymała - Siedlecki w swojej książce o Fredrze, że nie będę się kusić o czerpanie morza sitem i od niestarczających się uroków arcydzieła. przejdę bezpośrednio do jego wykonania.

Tu rzuca się odrazu w oczy jeden niezaprzeczalny fakt. Zespół aktorski nie zdołał się dociągnąć do tej linii demarkacyjnej, na której kończy się dowolność gry, a zaczyna się styl — ta zaczarowana kraina, do której wrota otwiera czasem instynkt, częściej — duża kultura artystyczna. Tylko Malickiej i Maszyńskiemu udało się prześliznąć przez to ucho igielne. Stworzyli oni parę nawskroś biedermayerowską, dwoje istnień, których dusza zrosła się niejako z ich kostjumem, dwie zjawy, których ukazanie się na terenie dzisiejszym raziłoby i śmieszyło swym anachronizmem, a w ramach epoki jest rzeczą naturalną i prostą. Para pradziadków zesła ze staroświeckiej minjatury i dała nam złudzenie tych dobrych czasów, kiedy ludzie nie mieli większych kłopotów nad miłość, a wdychanie należało do pa-

ragrafów konwenansu. Malicka z przedziwną intuicją odtworzyła psychikę młodej dziewczyny, która o miłości naprawdę jeszcze nic nie wie, ale wszystko przeczuwa i w której pod pozorami sentymentalnego chłodu wre wulkan budzącej się namiętności. Słowo „kocham“ działa na nią, jak zaklęcie; miało się wrażenie, że ogień przepłynął przez jej żyły.

Leszczyński był przemilym, ale nieco za dojrzałym trzpiotem wszystkich epok i krajów. Mało w nim było fredrowskiego Gucia, zato dużo Jurka Leszczyńskiego.

Modzelewska powtórzyła nam siebie z poprzednich swoich ról. Była rozbrykaną współczesną pensjonarką z bogatego mieszczkańskiego domu, chwilami sympatyczną subretką, ale nie rezolutnym kozaczkim z ziemiańskiej rodziny, w której tradycyjnie panuje wykwint towarzyski i nawet niewinne wybryki Gucia są surowo karcące. Świetna artystka powinna w roli Klary nałożyć tłumik na swoje gesty, minki i minoderje; wyzbyć się zgubnej manjery w dykcji, powinna zapomnieć, że grała „ósmą żonę Sinobrodego“, „mademoiselle Flûte“ i córkę tandeciarza z „Opery za trzy grosze“. Klara — to osóбка zupełnie innej rasy i odmiennego środowiska. Jej swoboda jest swobodą dziecka salonu, a nie parwenjuszki, która, żeby zamaskować nieumiejętność stąpania po posadzce, wykonywa mnóstwo niepotrzebnych i wulgarnych skoków.

Stanisławski w roli Radoscia starał się zbliżyć do epoki, balansował między współczesnością, a stylem. W Ślubickiej było za dużo sztynnej hrabiny z dagerotypu, zamalo ziemianki. Dlaczego tej roli nie zagrała Czaplńska?

Reżyserja staranna i drobiazgową, nie umiała jednak nalać poszczególnych indywidualności aktorskich do wspólnego pionu. Stąd pewne dysproporcje we fragmentach i w całości. Niektóre dialogi, np. scena pisania listu, opracowane były mistrzowsko.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

OTWARCIE ZJAZDU MAŁEJ ENTENTY KOBIEC.

W sali Rady miejskiej w Warszawie odbyło się we wtorek 25 b. m. uroczyste otwarcie V-go Zjazdu „Petite Entente des Femmes“.

Przy wypełnionej sali, w obecności przedstawicieli dyplomacji i władz, zagaiła zebranie prezeska, dr. Budzińska - Tylicka, przedstawiając w krótkim zarysie dzieje i program tej międzynarodowej organizacji, łączącej kobiety: Czechosłowacji, Grecji, Jugosławji, Rumunji i Polski.

Po krótkich życzeniach, które w imieniu pacyfistów polskich złożył Zjazdowi mec. Łypacewicz, nastąpiły przemówienia przedstawicielek poszczególnych delegacji o sytuacji i dążeniach kobiet w ich krajach. Przedstawicielka Rumunji, ks. Alexandrina Cantacuzene, secharakteryzowała pierwsze reformy na polu emancypacji kobiet w Rumunji, dopuszczenie ich do udziału w radach miejskich oraz komisji reformy prawa cywilnego. Delegatka Grecji, p. Avra Theodoropoule, oraz Jugosławji — dr. Masza Zivanovic — mówiły o walce o prawa obywatelskie kobiet upośledzonych w ich krajach. Czechosłowackie uczestniczki Zjazdu — p. Ida Hegerowa i Marja Karbanova — zaznaczyły, iż uzyskane równouprawnienie dość opornie realizuje się w Czechosłowacji. W imieniu Polskiego Klubu Politycznego Kobiety Postępowych przemawiała p. Jadwiga Krawczyńska, obrazując udział kobiet polskich w polityce, administracji, pracy zawodowej i społecznej.

Wieczorem uczestniczki zjazdu były na przedstawieniu w Operze. W środę rano rozpoczęły się obrady w gmachu sejmowym, popołudniu delegacja zjazdu udała się do Belwederu na przyjęcie u p. Marszałkowej Piłsudskiej.

OTWARCIE OGRODU JORDANOWSKIEGO W WARSZAWIE

W sobotę dn. 15 czerwca w obecności p. premierowej Świtalskiej, prezydenta m. stoł. Warszawy inż. Słomińskiego, przedstawicieli władz państwowych i miejskich, oraz stowarzyszeń społecznych nastąpiło otwarcie pierwszego w stolicy ogrodu Jordanowskiego, nazwanego tak dla uczczenia zasług pioniera ruchu boiskowego w Polsce, d-ra Henryka Jordana.

Po poświęceniu i pięknej przemowie ks. kanclerza Jachimeckiego nastąpiło uroczyste wciągnięcie flagi na maszt, na znak, że od tej chwili ogród jest otwarty i oddany do użytku dzieci.

Pułk. Kiliński, dyrektor Państw. Urz. Wych. Fiz. i Przysp. Wojsk., w krótkich słowach ujął znaczenie wychowawcze ogrodów Jordanowskich.

Dłuższe przemówienie wygłosił organizator ogrodu, pierwszy dyrektor P. U. W. F. i P. W., pułk. Ulrych, podając historię powstania ogrodu i zwracając się do prezydenta miasta z wezwaniem o poparcie i pomoc w pracy nad jego rozwojem. Prezydent Słomiński w odpowiedzi wyraził radość, że danem mu było dokonać otwarcia tak pożytecznej placówki i obiecał jaknajdalej idącą pomoc ze strony władz miejskich.

Po uroczystym otwarciu nastąpiło szczegółowe zwiedzanie terenu i urządzeń, zaprojektowanych według ostatnich wymagań higieny i zasad wychowania fizycznego. J. P.

PORADNIA BIBLIOTECZNA.

Zdając sobie sprawę z niedomagań i potrzeb pracy bibliotek publicznych, Koło Warszawskie Związku Bibliotekarzy Polskich przystąpiło do zorganizowania Poradni Bibliotecznej. Poradnia ma za zadanie służyć pomocą różnym typom bibliotek, a więc bibliotekom publicznym, prowadzonym przez samorząd, czy stowarzyszenia, bibliotekom związków i różnych instytucyj w miastach i we wsiach, jak również bibliotekom szkół powszechnych, średnich i zawodowych. Pomoc ta będzie się wyrażała w podejmowaniu przez Poradnię Biblioteczną następujących prac: 1) opracowywanie zestawień bibliograficznych, dostosowanych do potrzeb poszczególnych biblioteki; 2) udzielanie porad bibliotecznych i bibliograficznych drogą korespondencji; 3) zaopatrywanie bibliotek w książki z 10 proc. rabatem od ceny handlowej; 4) zaopatrywanie bibliotek w druki biblioteczne oraz kompletowanie i wysyłanie gotowych księgozbiorów w oprawie; 5) zaopatrywanie w odpowiednie druki: inwentarz, katalogi i kontrole wypożyczeń.

Pozatem Poradnia będzie prowadzić pracę instruktorską, podejmując się wysyłania na żądanie instruktora dla przeprowadzenia wykładów na kursach, lub też do udzielania rad i wskazówek na miejscu.

Poradnia Biblioteczna, czynna codziennie, z wyjątkiem świąt, w godzinach 9 — 5, mieści się w Warszawie przy ul. Hożej 74 II p., w lokalu Pracowni Oświaty Pozaszkolnej Ministerstwa W. R. i O. P.

PRZYJAZD DO POLSKI WYBITNEJ DZIAŁACZKI AMERYKAŃSKIEJ PANI ADALIN WRIGHT MACAULEY.

Dnia 14 b. m., przybyła do Polski wybitna działaczka Pani Macauley, piastująca godność Światowej Przewodniczącej „FIDAC-u“ z siedzibą w Paryżu. Pani Macauley, posiadająca wybitny talent twórczy, po otrzymaniu stopnia naukowego akademji w Rockford, zajmuje odpowiedzialne stanowisko sekretarki jednej z największych uczelni w Wisconsin.

W r. 1922 zaczyna pracować w kobiecej amerykańskiej „Legion“ — jest obraną, jako Przewodnicząca Departamentu „Wisconsin“. W 1925 r. — przewodniczącą 10 Congressional District. 1926 r. zostaje wybraną na Przewodniczącą Generalną Kobiecej „American Legion“, która liczy więcej, niż półmiljona członków.

Missis Macauley organizowała kongres w Paryżu, na który przybywa na czele 7,000 delegatek.

Pod jej energicznym przewodnictwem wszystkie organizacje szybko się rozwijają, sprzedaż maku polnego na rzecz inwalidów dochodzi do 8,000,000 sztuk rocznie, co daje rocznie 200,000 dol.

W roku 1928 na kongresie w Bukareszcie, „American Legion“ wystawiła kandydaturę Missis Macauley na przewodniczącą żeńsk. „FIDAC-u“.

Wszystkie narody z entuzjazmem oddały jej mandat, jako Przewodniczącą Światowej Żeńskiej placówki „FIDAC-u“.

Do Poznania przybyła w dniu 14 o g. 15 minut 49. W Poznaniu bawiła do 19, w Krakowie była 20 czerwca, w Przeworsku 21; we Lwowie zabawi od 22 — 23, w Warszawie 24, 25 i 26 czerwca.

PIERWSZA POŚLANKA BELGIJSKA.

Wśród ogólnego zaabsorbowania umysłów kampanją wyborczą kobiet angielskich, przeszedł bez większego wrażenia fakt, bardzo jednak znamienny w ruchu kobiecym — wybór pierwszej posłanki do parlamentu belgijskiego.

Kobiety belgijskie nie uzyskały dotąd czynnego prawa wyborczego, posiadają zato bierne. Na tej zasadzie wybór kobiety jest możliwy.

Pierwszą, którą spotkał ten zaszczyt, jest pani Lucja Desjardins, członkini partji socjalistycznej. Dzieje tej dzielnej kobiety są doprawdy niezwykle. Jako piętnastoletnia dziewczyna, rozpoczęła pracę na swe utrzymanie w kopalni węgla. Potem była przez kilka lat praczką. Z czasem została zarządzającą spółdzielni, wreszcie — inspektorką pracy. W czasie wojny została odznaczona złotym medalem zasługi i... uzyskała czynne prawo wyborcze. Belgja przyznaje bowiem niektórym kobietom to prawo, jako wyjątkowy przywilej za zasługi, położone podczas wojny. N. J.

LLOYD GEORGE STRONNIKIEM RÓWNOUPRAWNIENIA.

Jako dowód, jak radykalnie zmieniają się przekonania ludzkie pod wpływem okoliczności, posłużyć może znany polityk angielski, Lloyd George. Był on przez całe życie zaciekle przeciwnikiem równouprawnienia, i przed wojną, będąc u władzy, — prześladował niemiłosiernie ówczesne sufrażystki. Obecnie, przemawiając na meetingu w Albert Hall, Lloyd George wyraził się, że gdyby kobiety miały w 1924 r. wpływ na rządy państw, napewno nie doszłoby nigdy do wielkiej wojny europejskiej. N. J.

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWELEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORKIE ZIOŁA“ (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



V.

TECHNICZNE POMOCE W GOSPODARSTWIE DOMOWYM

Analizując całokształt życia domowego z punktu widzenia gospodarczej oszczędności, musimy stwierdzić, że do zaoszczędzenia czasu i sił, do utrzymania domu w porządku i czystości potrzeba nam technicznych pomocy. Potrzeba tem więcej, im bardziej zmuszone jesteśmy pracować same. Wstając rano i śpiesząc się do pracy, nie mamy możliwości zastanowić się, ile czasu i sił zaoszczędzamy, korzystając z urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych, z gazu i elektryczności.

Jedno odkręcenie kurka przy aparacie gazowym daje nam pożądany ogień, lub strumień gorącej wody. Śniadanie na gazie robimy szybko, tak samo, jak i inne potrawy, używając do tego oszczędnościowych garnków, wkładanych jeden w drugi; na gazie zarzewamy nasze karbowki, gazowym żelazkiem prasujemy przepraną bieliznę, lub zgniecioną suknię.

Przyzwyczajamy się do tych wygod nieślych nie szybko, a ocenić je jesteśmy w stanie dopiero, gdy ich nam zabraknie.

W codziennem naszym życiu, oprócz kanalizacji, wodociągów i gazu, ogromną rolę gra elektryczność, z której korzystamy często na wsi i w miasteczkach. Poza światłem, tym nieodłącznym składnikiem naszego życia, duże znaczenie ma elektryczność w gospodarstwie domowym, np. przy sprzątanu. Mamy do tego wspaniałe, wchłaniające odkurzacze elektryczne, które czyszczą meble, dywany, okurzają ściany, firanki i sztukaterje lub starannie zamiatają. Dalej idą mądre froterki elektryczne, które nadają śliczny połysk naszym posadzkom. Pracuje się nimi przemiłe, lekko i czysto. Należy tylko bardzo dokładnie zapoznać się z ich działaniem, żeby ich nie popsuć, a utrzymywać je trzeba zawsze w porządku.

Mamy dalej precyzyjne imbryki i garnki elektryczne, żelazka do prasowania, przyrządy do grzania karbowek, pralnie, suszarnie i magle, maszyny do szycia, kompresy i cuda - chłodnie, wytwarzające własny lód i zapobiegające psuciu się produktów spożywczych i wędnienu kwiatów.

Jest co podziwiać, czego pożądać i czem się wyręczać!

Ujemną stroną tych pomocy gospodarskich jest tylko to, że mają zastosowanie tam wyłącznie, gdzie jest elektryczność. Drugą ich „wadą“ jest dość wysoka cena. Ten drugi zarzut musi jednak upaść wobec ich ogromnej oszczędnościowej wartości przy wykonywaniu prac domowych, wobec czego prędko amortyzuje się włożony w nie kapitał.

Ale myliłby się ten, kto by sądził, że technika udoskonala tylko te wynalazki, które służą wybrańcom losu, mającym gaz lub elektryczność. Istnieje ca-

ły szereg przyrządów ulepszonych, nie wymagających gazu, ni prądu.

Różne mechaniczne pralnie, wyżymaczki, szczotki o wielorakich kształtach, garnki, nie wymagające „pucowania“ ani bielenia (jak dawna miedz), maszyny do mielenia mięsa i krajania. Dalej przyrządy do zwijania mięsa, kapusty, rolady. Noże nierdzewiące, które, po założeniu odpowiednich przyborów, szatkują, obierają, lub zwykły burak zmieniają w piękną różę. Wreszcie maleńkie, precyzyjne maszyny do krajania jaj w plasterki.

Oprócz tego — higieniczne filtry do wody, które mają wartość nawet tam, gdzie są wodociągi, albowiem zmiękczają wodę i zapobiegają tworzeniu się osadu na naczyniach. I te, tak mało znane u nas, cudne naczynia z ogniotrwałego szkła, w których tak smacznie i estetycznie wyglądają wszelkie „zapiekanki“.

Wyliczyć ich nie sposób — imię ich legjon!

Każda oszczędna pani domu, rozumiejąca wartość czasu i sił, w interesie własnym powinna znać te ulepszenia i nabywać je, w miarę możliwości, zapoznając się starannie ze sposobem ich użycia i utrzymując je troskliwie w porządku.

Pani nabywać powinna wszystko w dobrym gatunku, poznać źródła zakupów, nigdy nie dać się namówić na rzeczy wybrakowane, unikać wszystkiego, co może być podrabiane, i wszelkich namiastek. W przeciwnym razie oszczędność jej będzie krótkowzroczna: zły towar zużywa się prędko, a namiastki nieraz psują zdrowie. Każda z nas zapoznać się powinna z praktycznymi książkami: „Jak odróżnić towar dobry od złego“ (Wyd. „Życie praktyczne“).

Urządzając nowy dom, stosować trzeba odrazu system racjonalizacji pracy i oszczędności. Młode małżeństwo nieraz dba więcej o estetykę swego wnętrza, niż o wygodę i celowość. Należy tego bezwarunkowo unikać. Brak pieniędzy staje często później na przeszkodzie, kiedy chcemy w domu coś zmienić.

Kupując meble drewniane, trzeba pamiętać, że gładkie drzewo jest praktyczniejsze od rzeźbionego, które jest zbiorowiskiem kurzu i wymaga wiele starannego sprzątanu. Miękkie meble i dywany można już w fabryce nasycać płynem, który zabezpiecza je od moli (u nas jeszcze, niestety, ten system nie jest znany) i uniknąć tem samem ochraniać co lato tych rzeczy od dokuczliwych szkodników.

Ozdabiając okna nasze, zapominamy, że dają nam one światło, słońce i powietrze. Często zastawiamy je doniczkami z kwiatami, zawieszamy szczerlnie firankami, robimy na nich spiżarnię lub skład rupieci, pozbawiając je właściwego im przeznaczenia. A przecież kwiaty, które są ozdobą naszych mieszkań umieszczać można na stoliczkach, na półeczkach, w żardinierkach, gdzie czuć się będą niemniej dobrze.

Firanki trzeba zawieszać w ten sposób, żeby dały się łatwo odsunąć i nie przeszkadzały w otwieraniu

niu okien, których nie należałoby wcale zamykać w pewnych domach. Często, bowiem, wchodząc do obcego domu, odczuwamy odrazu ciężkie, nieprzyjemne powietrze — mieszaninę kuchni, pralni, sypialni — i ogarnia nas nieprzeczona chęć dopaść do okna i otworzyć je. W takim domu prawie zawsze okna są zawieszane lub zastawione, do przewietrzania zaś służą jedynie lufciki, które się zimą z wielkim strachem otwiera. I doprawdy, nieraz rozpacz ogarnia, gdy się widzi na każdym kroku rozwieleniony obskurantyzm, pogwałcenie elementarnych zasad higieny, niezrozumienie i nieposzanowanie sił i zdrowia!

Wracając do racjonalnych urządzeń naszych domów, wspomnieć należy o zanikającym dziś typie salonu. Salon — to dawniej (w $\frac{3}{4}$) pokój martwy, sztywny, nudny, gdzie meble stoją uroczyście pod ścianami, a gość źle się czuje. Dziś, wobec braku mieszkań, ten typ bezużytecznego pokoju zanika. Większość właścicieli mieszkań stara się salon praktycznie wykorzystać i nadać mu tem samem charakter bardziej zamieszkały i nie tak uroczyście sztywny.

Warunki ekonomiczne doby powojennej sprawiły, że ludzie coraz częściej i coraz bardziej dążą do tego, żeby mieć dom własny, dom dla siebie w całym tego słowa znaczeniu. Zaobserwować można tę dążność po ogromnym rozwoju kooperatyw mieszkaniowych.

W takim nowym domu właściciel myśli nade wszystko o własnej wygodzie. Niema tam miejsca na ogromne salony, które w starych domach są zwykle największym pokojem, z krzywdą sypialni i innych pokoi mieszkalnych. Pokoje nowoczesne są mniej więcej równe. Jeśli się ma ich dużo, to jeden zostaje przeznaczony na salon, gabinet, buduar lub t. p. Zawsze jednak myślą przewodnią w takich domach będzie urządzenie widnych sypialni, dużej jadalni, racjonalnych kuchni, łazienek i wszystkiego, co udogadnia życie codzienne i przyczynia się do zdobycia w domu własnym nie tylko wygody, ale spokoju i wypoczynku.

Jest jeszcze jeden maleńki drobiazg domowego życia, na Zachodzie, a szczególnie w Ameryce, tak znany: to serwetki i nakrycia papierowe. W Ameryce ten zwyczaj papierowych naczyń i nakryć jest bardzo rozpowszechniony i stosowany rozlegle w stosunku do dzieci. Przyjęto tam słuszną zasadę dawania dzieciom posiłków osobno. Nakrywa się im wówczas papierowymi serwetkami, dając do niektórych dań papierowe naczynia. Wszystko to po użyciu się wyrzuca, unika się tedy prania i zmywania, a dziecko je spokojnie, bez obawy splamienia obrusa, lub stłuczenia naczyń. Dodać należy, że rzeczy te w Ameryce kosztują grosze.

U nas fabryki papieru wyrabiają mnóstwo przeróżnych serwetek, ale w domach prywatnych wstydzimy się ich używać przez jakiś dziwny snobizm, zamiast podawać je stale do owoców. Wolimy raczej smętnie patrzeć, jak serwetki i serweteczki, przez nas

pracowicie wyhaftowane, plamią się od owoców lub barwionych likierów; nie podajemy też do owoców tekturowych talerzyków, o które zresztą u nas dosyć trudno. Byłam świadkiem, jak organizatorki pewnego wielkiego balu w tegorocznym karnawale, które chciały talerzyki takie podawać w bufecie do tortów i owoców, musiały przebiegać całą Warszawę, ażeby znaleźć ich trochę... przedziwnych kształtów.

Z szeregu drobiazgów składa się całokształt domowego życia, ale te drobiazgi, nieraz napozór nic nie znaczące, stwarzają mniej lub bardziej zharmonizowaną całość.

M. Dobrowolska.



O OTRZYMANIU DOBREGO PŁONU POMIDORÓW

I.

Różne sposoby cięcia.

Od kilkunastu lat pomidory zaczęto uprawiać u nas w kraju w większej ilości — szczególnie w pobliżu dużych miast. Po dworach, leżących dalej na głębokiej prowincji, spotykamy pomidory uprawiane tylko na domowy użytek.

Zdarzało mi się nieraz słyszeć narzekania, że „pomidory się nie udają”, że „psują się”, „źle dojrzewają”, „są drobne” i t. p. I nic dziwnego, bo widziałam pomidory sadzone i prowadzone w sposób okropny. Nie dość jest posadzić pomidory, podlać, opleć i potem już tylko czekać dojrzałych owoców. Pomidor jest to roślina, która potrzebuje starannej pielęgnacji — trzeba koło niej „chodzić”, o nią dbać, a wtedy ona stokrotnie za to odplaci.

Chciałabym więc w niniejszym artykule dać pewne wskazówki, jak koło pomidorów „chodzić” — aby one dały to, co chcielibyśmy od nich dostać, to znaczy — owoc dorodny, zdrowy i dobrze dojrzały.

Pozostawione samym sobie, rozrastają się pomidory w wielkie krzaki, późno zawiązujące owoce, tak, że część ich nie dojrzewa wcale; leżąc zaś na ziemi, podlegają psuciu się z powodu częstego uszkodzenia przez ślimaki, lub inne szkodniki. Chcąc tego uniknąć, trzeba pomidory w odpowiedni sposób pielęgnować — czyli, jak się mówi po ogrodniczym: „prowadzić”.

A prowadzić pomidory można różnymi sposobami.

Najprostszy i może najlepszy sposób — to prowadzenie pomidorów na 1 pęd: będziemy tworzyć przez odpowiednie obcinanie krzak o jednej łodydze. Każdy pomidor powinien dostać kolek, na 1 m. 20

cm. do 1 m. 50 cm. wysoki — do którego, w miarę wzrostu, przywiązujemy roślinę; wszystkie zaś boczne pędy (gałązki), wyrastające w kątach liści, ostrym nożem usuwamy. Roślina składać się tu zatem będzie z jednej tylko gałęzi, pokrytej liśćmi, na której od dołu ku górze pojawiają się w miarę wzrostu coraz nowe grona kwiatowe. Liści nigdy nie należy obcinać — gdyż są one jednym z elementów, przy których pomocy, roślina czerpie pokarm. Krzak, osłabiony przez obcięcie liści — daje owoce drobne, źle dojrzewające, a nawet bardzo często je zrzuca; stąd właśnie narzekanie, że owoce są drobne i źle dojrzewają.

W połowie sierpnia przycinamy wierzchołek krzaku, by wstrzymać dalszy jego wzrost, a wszystkie soki odżywcze skierować w ten sposób do owoców. Tak prowadzone krzaki dają dorodne, zdrowe, dobrze i równo dojrzewające owoce.

Można też, kiedy się pomidory dobrze zakorzenia, obciąć im same wierzchołki. Wtedy z kątów liści wyrastać zaczęły pędy boczne, z których wybieramy 2 lub 3 i prowadzimy je w ten sam sposób, jak opisano wyżej. Obcinamy zatem starannie wyrosłe na nich boczne gałązki, pozostawiając tylko liście i grona kwiatowe. Przywiązujemy gałązki do palika tak, jak w sposobie pierwszym. Jeżeli pomidory posadzone są na zagonku w ogrodzie lub na polu, to wystarczy zostawić na krzaku tylko 2, a najwyżej 3 pędy i przywiązać je do palika.

Ponieważ pomidory bardzo lubią ciepło, a najlepiej się udają, gdy choć w części są osłonięte od deszczów, więc dobrze jest obsadzać nimi mury, parkany lub płoty z południową wystawą. W takich warunkach możemy zostawić na krzaku 4 — 5 pędów, rozpinając je na kilku palikach, a lepiej jeszcze na tak zwanym „płotku“, który robimy w ten sposób: co 2 metry wbijamy mocny kołek 1 m. do 1.50 wysokości i dajemy poprzeczne cieńsze 2 — 3 żerdki (można je zastąpić grubym drutem). Gałązki pomidorów rozpinamy wachlarzowato, przywiązując je w możliwie równych od siebie odstępach.

W ten sposób rozpięte gałązki będą dobrze oświetlone i dadzą dorodne owoce.

Sposób ten jest wskazany tam, gdzie pomidory hodujemy tylko na własny użytek — a krzaków pomieścić możemy w ogródku niewiele (w małych ogródkach przy willach, w miejscowościach podmiejskich).

Czwarty sposób jest zwykle stosowany przez ogrodników francuskich dla wcześniejszego otrzymania dojrzałych owoców. Polega on na przycięciu krzaka nad pierwszym gronem owocowym i usuwaniu wszystkich pędów bocznych. Roślina zmuszona jest skierować wszystkie soki odżywcze do owoców, które, dzięki temu, prędzej rosną i dojrzewają. Ten sposób jest dobry dla pomidorów, hodowanych w inspektach, lub posadzonych wcześnie, np. w pierwszych dniach maja pod murami z południową wystawą. Pomidory dają wówczas krzaki niskie, które łatwo moż-

na nakryć na noc oknami inspektowymi, opierając je o mur. Można też, w obawie silniejszego przymrozku, rzucić na okna maty.

Krzak, prowadzony w ten sposób, da owoców b. mało — 5 — 8 sztuk najwyżej — ale otrzymamy owoce dojrzałe b. wcześnie, w porze, kiedy na rynku są tylko pomidory sprowadzone z Włoch, a więc mniej smaczne i drogie.

Sposób piąty jest może najłatwiejszy, bo nie wymagający żadnego przywiązywania; jest to tak zwane prowadzenie pomidorów „na kopczykach“, „na dziko“. Po posadzeniu i przyjęciu się krzaków, obsypujemy je ziemią wokół tak, by utworzył się kopczyk. Łodygi z owocami rozkładają się następnie po bokach kopczyka.

Radziłabym pozostawić na krzaku kilka pędów największych, a resztę gałązek, zwłaszcza wybijające przy samej ziemi, usuwać, aby krzak nie był zagęsty — wtedy owoce będą większe i ładniejsze.

Przy takim prowadzeniu pomidorów duży procent owoców ginie, gdyż dotykając do ziemi, ulegają łatwo zgniciu lub, jak wspominałam wyżej, nadjadają je ślimaki, myszy i inne szkodniki.

Owoce, gorzej oświetlone, dojrzewają nierówno; często zrywamy owoce od góry czerwone, a od spodu jeszcze b. słabo zabarwione.

Wskazane byłoby podkładanie pod gałązki pomidorów chróstu — tak, by owoce nie leżały bezpośrednio na ziemi. Jest to jednak stosunkowo mało skuteczne.

Sposób ten stosuje się tylko przy masowej (morgowej) produkcji — gdzie dostarczenie tak znacznej ilości kołków i robota przy przywiązywaniu i obcinaniu zbyt podniosłoby kosztą uprawy. Przy mniejszej produkcji, a zwłaszcza przy uprawie pomidorów na własny użytek, bezwarunkowo sposobu tego stosować nie radziłabym, gdyż w tym wypadku dodatek kołków i pracy — opłaci się w postaci dobrego i dorodnego plonu.

Zofja Wróblewska,

Najaktualniejszą obecnie jest książka p. t.

„Potrawy z jarzyn“

która daje szereg praktycznych i nowych przepisów.

CENA 1 zł. 50 gr.

Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ 1 zł. 80 gr.

Wysłać Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. T-wa „Bluszcz“, Nr. 13.555

ODŻYWIANIE A ZDROWIE

Dieta w chorobach przewodu pokarmowego.

Pospolicie u nas podciąga się wszystkie niedomagania przewodu pokarmowego pod choroby żołądkowe. Mówi się bowiem: „boli żołądek“ wtedy, gdy bóle są w kiszkiach cienkich, lub „boli żołądek“ zamiast „boli brzuch“, bo są bóle w kiszkiach grubych.

Zanim przejdę do podawania przepisów dla chorych na różne zaburzenia żołądka, kiszki i wątroby, w ogólnych zarysach przedstawię pragnę, jak się odbywa trawienie.

Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak dalece nasz stan psychiczny wpływa na trawienie. Człowiek zmęczony, poirytowany, w ogóle w stanie jakiejś emocji — nie ma apetytu, a co za tem idzie, źle trawi. Człowiek często może być jeszcze głodny, a nie mieć już apetytu!

Przypatrzmy się, jak je pies lub kot. Rzuca się chciwie na jadło, gdyż chodzi mu jedynie o jaknajprędsze nasycenie głodu. Człowiek smakuje, przedłuża chwilę jedzenia, gdyż chodzi mu nietylko o nasycenie głodu, ale i o zaspokojenie *apetytu*. Rozróżniamy więc pojęcie głodu i apetytu.

Przy zaspokajaniu głodu odgrywa rolę *ilość*. Żołądek ma swoje wymagania, ustrój nerwów wegetatywnych ma tu ważne znaczenie. Przy zaspokajaniu apetytu odgrywa rolę *jakość*. Jama ustna stawia swoje wymagania, żąda smaku, przyjemności.

Nasycenie głodu powoduje przesyty.

Brak apetytu wywołuje wstręt do jedzenia. Dlatego to potrawy, podane nieestetycznie, odbierają apetyt, ślina nasza przestaje się wydzielać, jak również soki trawienne.

Jakież więc są czynniki, wpływające na podwyższenie siły trawiennej?

1) Estetyka i staranność przy podaniu potraw oraz wytworzenie miłej atmosfery podczas jedzenia;

2) podniesienie smaku skutkiem dobrej techniki kulinarnej;

3) umiejętne ułożenie menu, aby zachować pewną różnorodność w smaku potraw, harmonję w kolorze i zewnętrznym wygiądzie oraz, dzięki znajomości fizjologii trawienia, wprowadzenie pokarmów lekko strawnych.

Rozpatrzmy punkt 1-szy.

Często idiosynkrazja do poszczególnych potraw dotuje od czasów dzieciństwa. Dziecko, które jadło szpinak przy stole, dostało burę; od tego czasu nie chce jeść szpinaku. Często dzieci nie lubią mleka, bo pamiętają, że kiedyś dostały przypalone, z kożuchami, spowodowanymi zbyt długim gotowaniem.

Punkt 2. Powodzenie w technice kulinarnej zależy od: 1) jakości pożywienia, 2) dokładności miar,

*) W handlu są już specjalne rondelki do gotowania na parze.

3) staranności w łączeniu składników, 4) metody gotowania i czasu na to przeznaczonego. U nas zapomina się o tem, że jarzyny należy gotować możliwie krótko, w wysokiej temperaturze (100°C); szczególnie za długo gotuje się u nas marchew, szpinak, kapustę. Zwykle podają nam jarzyny przegotowane. Najlepiej gotować je na parze, bo wtedy zatrzymują wszystkie pożyteczne składniki. Należy podawać natychmiast po ugotowaniu; lepiej, gdy są trochę twarde, niż gdy by były za miękkie.

Kasze wszelkie należy gotować *długo* i na wolnym ogniu. Najlepiej zasypać na gotującą się wodę osoloną i potem wstawić z rondelkiem do większego z wrzącą wodą*), postawić na ogniu na 1—3 godzin, zależnie od grubości kaszy.

Jaja należy również włożyć do gotującej się wody, zaraz odstawić i w temperaturze poniżej 100°C trzymać 3 — 20 minut, zależnie od tego, czy chcemy je mieć na miękko czy na twardo.

Mięsa u nas są często gotowane w zbyt wysokiej temperaturze (sztuka mięsa) lub duszone i dlatego nawet najlepsze części pozostają twarde.

Metody gotowania poszczególnych produktów omówię przy przepisach w kolejno następujących numerach.

Zwrócić jednak pragnę uwagę Czytelniczek, aby starały się iść w kierunku ujednostajnienia metod gotowania i użycia naczyń, przeznaczonych do pewnych produktów.

Punkt 3-ci. Umiejętne ułożenie menu zależy od: a) równowagi między potrawami — mącznymi, tłuszczowymi a białkowymi, t. j. z mięsa i jaj; w jednym posiłku muszą się zawierać pokarmy pochodzenia roślinnego i zwierzęcego; b) nie powtarzanie jednego i tego samego produktu w jednym posiłku (np. zupa pomidorowa i sałatka z pomidorów); c) w każdym posiłku powinno się przechodzić od smaku kwaskowego do słodkawego, od potraw twardawych do miękkich, od kruchych do elastycznych, od ciepłych do zimnych. W ten sposób, uwzględniając tych 5 punktów, dogodzimy naszemu aparatowi trawiennemu i pobudzimy go do intensywnej pracy.

Instynkt człowieka zdrowego domaga się smacznego jedzenia. Wszak wszystkie trucizny smakują źle lub pachną odrażająco. Jest to dobry wskaźnik, że *przyjemność*, jaką nam sprawia jedzenie, należy kultywować. Niedosć na tem. Musimy uważać pewne pokarmy, nie dające nam kaloryj ani materiału budowlanego, za posiadające wysoką *wartość* odżywczą. Do takich należą rosoly, buljony, wyciągi z warzyw. Dają one przyjemność w spożyciu i znakomicie wpływają na pobudzenie soków trawiennych. Dlatego to chemiczne laboratorium, jakim jest nasza jama ustna, określa nie skład chemiczny potraw, ale przyjemność lub przykrość, z ich spożycia doznawaną.

(dok. nast.)

Marja Morzkowska.

PIELĘGNOWANIE MACIORY PROŚNEJ I PROSIĄT

Jeśli chcemy mieć ładne i zdrowe prosięta — nie wystarczy dbać o nie od chwili oproszenia się maciory, ale już przed oproszeniem należy maciorę otoczyć racjonalną opieką.

Prośna maciora wymaga ciepłego i suchego chlewu. Przez cały okres ciąży powinna być wypuszczana codziennie na świeże powietrze, używać ruchu. Naturalnie wszelki forsowny ruch, pędzenie maciory, jest niedopuszczalne. Przy żywieniu musimy pamiętać o tem, że ona wymaga większej ilości paszy, dla siebie i dla płodu, ale należy też uważać, aby maciory nie zatuczyć zbyt obfitem żywieniem, lub zbyt tuczącą paszą. Zapasione maciory dają zawsze słabe i drobne prosięta.

Przez pierwsze 2 miesiące okresu ciąży żywimy maciorę zwykle tak, jak pozostałe świnię — karmą objętościową; w 3-im miesiącu dodajemy jej paszy treściwej i zwiększamy dodatek soli mineralnych. Sole mineralne mają bardzo duże znaczenie przy żywieniu świń, a w żywieniu macior prośnych są niezbędne.

W końcowym okresie ciąży musimy też zwrócić uwagę na to, aby nie dawać pasz ciężkostrawnych, które powodują zaburzenia przewodu pokarmowego, lub pasz nieświeżych, gdyż te ostatnie mogą nawet spowodować poronienie. Oprócz żywienia, ważną rzeczą jest pojenie świni. Należy maciorom dawać dużo świeżej wody do picia, oddzielnie od karmy stałej.

Jakieś 15—20 dni przed oproszeniem należy umieścić maciorę w oddzielnym chlewie, suchym, wygodnym, zaopatrzoną barjerką, równoległą do ścian, która uniemożliwia maciorze kładzenie się pod samymi ścianami, a przez to zapobiega zgnieceni prosiąt. Chlew ten powinien być nie zagorący w lecie, a niezbyt zimny w zimie. Śtać należy prośnej maciorze obficie, niż zwykle.

Zbliżający się poród rozpoznajemy po tem, że maciora szykuje sobie legowisko, a na kilka godzin przed porodem w sutkach pojawia się mleko. Od tej chwili powinno się nad lochą rozciągnąć nadzór. Należy chlew zasłać obfitą, świeżą ściółką, z krótko ciętej słomy, i przygotować głęboki kosz, wysłany sianem.

Poród u macior zwykle odbywa się prawidłowo i pomoc ludzka jest zbyteczna. Należy tylko uważać, aby w chlewie był spokój i aby nic nie drażniło maciory. Nawonarodzone prosięta kolejno zabieramy od maciory i wkładamy do przygotowanego w tym celu kosza. Normalnie powinna sama się odrywać wskutek ruchu narodzonego prosięcia; o ileby to jednak od razu nie nastąpiło, należy ją przeciąć

nożyczkami (obmytemi jakimkolwiek ze środków denzynfekcyjnych, np. spirytusem) w odległości 3 cm. od ciała, i zajodynować.

Prosięta zatrzymujemy w koszu do końca porodu, aż maciora się uspokoi i wypocznie. Należy ją napoić jakąś ciepłą i pożywną polewką, uprzątnąć z chlewa brudną ściółkę wraz ze wszystkimi porodowymi pozostałościami, zasłać świeżą, suchą i tak, jak przedtem, krótko ciętą słomą. Dopiero wtedy przynosimy do chlewa prosięta i układamy je przy sutkach maciory, uważając, aby słabsze umieścić przy tych sutkach, w których jest więcej pokarmu. Zwykle maciora ma w tyłu sutkach pokarm, ile ma potomstwa. Gdy jednak prosiąt jest więcej, trzeba nadliczbowe od razu zabrać. O ile to są jakieś bardzo słabe i cherlawe sztuki, to lepiej je zabić; jeżeli zdrowe i silne — to można je wychować, karmiąc krowiem mlekiem, albo też przyłączyć do innej maciory, jeśli mamy w chlewni taką, która się w tym samym czasie oprosiła, a ma mniejszą ilość potomstwa.

Zdarza się czasami, że maciory nie chcą dać się ssać prosiętom, które ostremi bocznymi ząbkami kalczą sutki. Trzeba wtedy specjalnymi szczypcami odłamać ostrza tych ząbków, unikając całkowitego wyłamania ich ze szczęki.

Jeśli mamy zdrową i spokojną maciorę, a nie zostawiliśmy zbyt dużej ilości prosiąt, to wychów nie sprawia wielkiego kłopotu, jednak wymaga starannej opieki i umiejętności, zwłaszcza przez pierwsze 2 tygodnie. Należy chronić prosięta przed wilgocią i chłodem. Najodpowiedniejsza temperatura chlewu jest 10 stopni Celsjusza. Ściółka powinna być zawsze obfita i sucha: przeziębienie powoduje śmiertelność i cherlawość prosiąt.

Tak, jak dla rozwoju wszystkich żywych istot, zbawienne jest świeże powietrze i światło słoneczne, tak i na rozwój prosiąt wpływa nadzwyczaj korzystnie. O ile więc prosięta się lochy wypadło w porze ciepłej, należy ją już z parodniowami prosiętami wypuszczać na dwór. Zimą na okólnikach, na które wypuszcza się prosiaki, powinna być rozrzucona słoma z nawozem końskim, piasek, szlam, co zachęca prosięta do rycia, a ten ruch je rozgrzewa, tak, że na krótki przeciąg czasu możemy już czterotygodniowe prosiaki wypuszczać na dwór.

W okresie, gdy prosięta ssą maciorę i nie dostają jeszcze żadnego innego pokarmu, powinno się stawiać w chlewie korytko z tłuczonym węglem drzewnym, cegłą potłuczoną, mączką kostną i palonem żytem. Składniki mineralne są konieczne dla rozwoju i rozrostu kości, a palone ziarna żyta mają działanie dietetyczne i zapobiegają bieguncce.

Zależnie od ilości pokarmu u maciory, zaczynamy prosięta wcześniej lub później dokarmiać. Zwykle już w drugim tygodniu zadajemy mleko krowie, w $\frac{1}{4}$ rozcieńczone wodą, albo krupy jęczmieni-

ne z mlekiem w niewielkich ilościach, bardzo pilnie przestrzegając, aby karma była zupełnie świeża, a koryto czyste, gdyż kwaśniejące mleko powoduje biegunkę. O ile mamy pewność, że krowy nasze są zdrowe i w mleku nie znajdują się prątki gruźlicze, najracjonalniejsze jest zadawanie surowego, jeszcze ciepłego mleka.

Odciganego mleka prosiętom do sześciu tygodni nie powinno się dawać. Dawki mleka i kaszy stopniowo powiększamy; oprócz kaszy dajemy ziarna jęczmienia, pszenicy lub moczzonego grochu. Zwiększając ilość zadawanej w korycie karmy stopniowo od szóstego tygodnia, odłączamy prosięta od macior w ten sposób, że dopuszczamy do niej prosięta, poprzednio nakarmione. W dziewiątym, dziesiątym tygodniu prosięta powinny już być odłączone zupełnie. W tym wypadku kierujemy się przeznaczeniem prosiąt: o ile mają one być zatrzymane dla naszej hodowli — trzymamy je dłużej przy maciorze.

Knurki powinny być wykastrowane w szóstym tygodniu, gdy są jeszcze maciorę.

Przez cały okres żywienia, w którym prosięta bardzo intensywnie się rozrastają, należy im oprócz opisanych pokarmów dostarczać w dostatecznej ilości składników mineralnych, a przede wszystkim wapna. Najlepszą jest mączka kostna, przyrządzana w gospodarstwie z kości zabitych, zdrowych zwierząt.

Małe prosiaki nie podlegają epidemjom. Zato bardzo groźną chorobą, powodującą duży procent śmiertelności, jest biegunka. Jest to choroba zakaźna; występuje zarówno wtedy, gdy prosiaki są maciorę, jak i w okresie odłączenia. Ma ona najgroźniejszy przebieg u sztuk słabowitych; powoduje ją nieodpowiednie pomieszczenie, zimno, wilgoć w chlewie, nieodpowiednia karma lochy karmiącej, lub prosiąt. Przedewszystkiem więc higienicznem pomieszczeniem i racjonalnem żywieniem nie powinniśmy dopuścić do tego, aby biegunka się pojawiła. Wspomniane przedtem palone ziarno żyta działa nie tylko zapobiegawczo, ale i leczniczo. Jeśli jednak biegunka pojawi się w silniejszym stopniu, należy bezwzględnie prosięta, albo też karmiącą maciorę wziąć na dietę na przeciąg jednego dnia; jako lekarstwo, zadawać prosiakom proszek magnezjowy, w ilości następującej: na 10 sztuk dajemy 50 gr. proszku z dodatkiem 5 kropli opjum.

Zofja Prażmowska.



ZUPA Z GŁÓWKI CIEŁĘCEJ.

Dobrą zupę z główki cielęcej można mieć, niestety, tylko na wsi, gdzie się bije własne cielęta. W miastach polskich istnieje zupełnie barbarzyński zwyczaj zdzierania skórki z główek cielęcych, przez co ta wyborna część cielęciny traci całą swą smakową wartość. W braku jednak innych, musimy się zadowalniać takimi oskalpowanymi główkami, przykładając więcej starania, aby zupa nasza była smaczna. Dwukilową główkę z ozorkiem, lecz bez mózdzku, zalać czterema litrami zimnej wody, zagotować na silnym ogniu, zszumować, włożyć marchew, pietruszkę, seler, por, dwie cebule, pieprzu i ziela po ziarn kilka, listek; osolić niezbyt mocno. Włożyć też nieduży kawałek (około ćwierci kilo) wędzonej, surowej, nie tłustej szynki. Gotować wolno, często szumując, aż mięso od kości zupełnie odstanie. Rosół scedzić, sklarować białkiem, rozbitem z łyżką octu, przecedzić, zakolorować karmelem na blade złoty kolor. Trochę główki i szynkę pokrajać w drobne, ładne kawałki, włożyć do wazy, wlać też kieliszek białego wina „Sauterne“ lub „Graves“, wsypać trochę siekanego koperku, zalać gorącą zupą i podawać. Do tej zupy podaje się zwykle paszteciki z mózdzku w jakimś bądź cieście. Kto lubi, może też do wazy włożyć kilka plasterków cytryny. Pozostałą główkę zdjąć z kości, pokrajać drobno, ułożyć w foremkę wraz z paru ugotowanymi na twardo i pokrajanymi na ćwiartki jajami, i zalać taką ilością pozostawionego w tym celu rosółu, aby mięso było pokryte. Po kilku godzinach uformuje się galaretką, którą można podać do przekąski, lub na śniadanie dnia następnego.

KALAFJORY Z SZYNKĄ.

Można tu użyć mniej ściśle główki kalafjorów. Sześćdziesiąt do osiemdziesięciu deka już oczyszczonych kalafjorów namoczyć na godzinę w wodzie, zakwaszonej octem, aby usunąć liszki, mogące się gnieździć w jarzynie. Ugotować kalafjory w mocno osolonym wrzątku, dodając łyżeczkę cukru. Gotować w odkrytym rondlu, żeby straciły przykry zapach. Wziąć szynki gotowanej, dosyć tłustej (mogą być obrzynki — pół wagi kalafjorów) pokrajać w drobnutką kostkę. Kalafjory podzielić na nieduże części. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem, wysypać bułeczką, układać w niej rzędami kalafjory i szynkę, aż wszystko wyjdzie. Dwa jaja rozbić z półtora

szklanką słodkiej śmietanki (lub trzy jaja z taką ilością mleka), osolić lekko, połać tem potrawę. Na wierzch położyć kilka małych kawałeczków masła i zapiec w piecu do lekkiego zrumienienia.

SALATKA JARSKA — WITAMINOWA.

Duży ogórek, pęczek rzodkiewek i 6 — 8 grubych szparagów. Umyć wszystko, nie obierając z łupin, ze szparagów tylko oskrobać twarde włókna. Zetrugać wszystko na tarce do jarzyn, osolić lekko i zacisnąć sokiem z pół cytryny. Dać postać godzinę. Przełożyć na salaterkę, pokryć kwaterką najlepszej gęstej śmietany i natychmiast podawać, aby sałata nie odwodniała.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Posmolone karty do gry można oczyścić, przecierając każdą lekko, aby nie straciły blasku, kawałkiem flaneli, skropionej benzyną. Wysuszyć bez tarcia cienkim płótnem. Jeżeli karty nie są bardzo brudne, a tylko nieświeże, wystarczy wytrzeć je skórką czerstwego chleba.

* * *

Aby odświeżyć pokrycie na meblach, zwłaszcza jedwabne, trzeba je wytrzeć i oczyścić z kurzu bardzo starannie. Do trzepania kosztownych materiałów używa się trzepaczki, zrobionej z pasów krajki sukiennej, osadzonych na kij; następnie szczyści się kurz miękką szczoteczką, a wkońcu ściera czystym, cienkim gałgankiem. Szklankę spirytusu miesza się z dwiema szklankami ciepłej wody, macza w tym płynie czysty gałganek i zmywa jedwab wzdłuż nitki, prawie nie przyciskając. Zmieniać często gałganek i powtórnie wycierać miejsca poplamione. Następnie wysuszyć, naciskając lekko płótnem i wygładzić materiał wzdłuż nitki. Czyścić trzeba nie na słońcu i przy zamkniętych oknach, aby uniknąć kurzu z zewnątrz.

KORRESPONDENCJE

Pani St. R. — Zagdańsk. — O ile Sz. Pani nie jest w żalobie, która obowiązuje do noszenia czarnych pończoch, można użyć srebrzysto popielatych, albo migdałowych. Pantofelki zastosować do koloru pończoszek. — Obrus zrobić z haftowanych na batyście kwadratów, łączonych z kwadratami siatkowymi, mierzka lub wstawką, ozdobiony angielskim haftem z mierzkami.

Pani z Sochaczewskiego. — Kolor „beige”, modny i bardzo odpowiedni, trzeba wziąć jednostajny, nie w deseń. Najlepiej zrobić całą sukienkę. Wieczorem każdy fason i materiał jest odpowiedni. Dodatki trzeba dobrać do koloru sukni. Do koloru „beige” najodpowiedniejsze będą w kolorze jasnym, karmelowym. — Co do ondulacji, dobrze zrobiona nie szkodzi włosom. Firma „Antoine” pierwszorzędna; „Ewaryst” (Marszałkowska 114), również odpowiedzialna i zaufania godna.

Pani M. P. — Chabówka. — Niech Sz. Pani zwróci się do Izby Polsko - amerykańskiej: Krakowskie Przedmieście 72 — dawny pałac Staszica. Na tego rodzaju artykuły najłatwiej znaleźć zbyt w Ameryce. W Warszawie może w „Przemysle ludowym” (Tamka 1) udzielić Sz. Pani potrzebnych informacji.


Pani M. B. — Wiałorusz. — Radziłabym Sz. Pani Szymanów pod Warszawą (niespełna godzina koleją): Zakład wychowawczy Sióstr Niepokalanek. O bliższe warunki niech Sz. Pani napisze wprost do Szymanowa (poczta Sochaczew).

Panu J. J. — Boryslaw. — Powiat Kalwaryjski, o który Sz. Panu zapytuje, przyłączony jest obecnie do Litwy. W pobliżu Suwałk, prawie w pasie granicznym, leży miasteczko powiatowe Kalwaryja, w jej okolicach — maleńka miejscowość „Jasionko”, o którą prawdopodobnie chodzi Sz. Panu. Należy dowiedzieć się na poczcie, czy można przesłać polecony list na Litwę; w razie przychylniej odpowiedzi, skierować się do odpowiedniego urzędu w Kalwarji (sąd, powiat, parafja) i tam zebrać potrzebne dane. Nie znając dokładnie interesu, nie możemy dać bliższych wskazówek, przypuszczalnie jednak najtrudniejszym będzie porozumienie się z jakąkolwiek władzą w Kalwarji.

Pani W. P. — Czyżewicze. — Dotychczas znane są tylko Kursy w Lubrańcu pod Włocławkiem. Niech Sz. Pani postara się o numer 5-ty „Dziennika Urzędowego” Ministerstwa Oświaty. Znajdzie tam Pani ogłoszenia wszelkich kursów dokształcających, warunki przyjęcia oraz ich adresy. Można nabyć dziennik w księgarni „Książnica Atlas”: Warszawa — Nowy Świat 59, albo w drukarni Państwowej: Miodowa 22. Sądząc, że na żądanie listowne przesyła za zaliczeniem pocztowym.

Pani M. P. — Kopernia. — Szkoła w Chyliczkach (kurs niższy) będzie w danym wypadku zupełnie odpowiednia. Trzeba napisać do Zarządu o warunki przyjęcia, zaznaczając cel wyraźnie — pod adresem: Chyliczki—poczta Piaseczno, województwo Warszawskie.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO - CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A.GĄSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI HEMOROIDALNE „**VARICOL**”
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — APTEKA A.GĄSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z ZNAKÓW FABRYCZNYCH „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
 Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9, Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
 Druk. Zakł. Gz. i Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Dobrze jest poznać każdy zakątek swego kraju.

Gorące dni stwarzają nastrój „letni“, kiedy to, po spełnieniu koniecznych obowiązków codziennych, człowiek chętnie wyciąga strudzone członki, i marzy — o morzu, o górach, o lesie, rozległych horyzontach, jednym słowem o... zielonej trawce. Wobec tego, prawie już „ogórkowego“ sezonu, pozwolę sobie pogawędzić ze współczytelnikami „Bluszczu“ i podzielić się z nimi przeżyciami ostatnich dwóch miesięcy.

W wojsku, jak to w wojsku. Siedziało się jakoś, względnie spokojnie, trzy lata na jednym miejscu, urządziło się już trochę po ludzku, rany wojennej tułaczki się podleczyły; aż tu nagle, piorunująco (jako w wojsku zwykle bywa) spada rozkaz: w ciągu dwóch tygodni objąć stanowisko gdzieś daleko, aż na Podkarpaciu! Z województwa łódzkiego, nad Tyśmienicę, do stolicy Zagłębia naftowego. Pierwszem mojem uczuciem była radość, że zdążyłam zakończyć dość mozolną pracę przy urządzaniu miejscowej wystawy prac kobiecych w związku z wysłaniem eksponatów na P. W. K. Myślałam, marzyłam, że odpocznę sobie trochę, aż tu masz... przewrót całkowity: Świąt Wielkanocnych tak jak nie będzie, gdyż w drugie święto mąż mój miał wyjeżdżać; o chwili odpoczynku myśleć nie możesz, gdyż trzeba zabierać się do porządkowania, prania, prasowania, no i pakowania! Trzeba oderwać się od miejsca, do którego się trochę przyrosło, gdzie ludzie chętnem, często przyjaznem okiem spoglądali na nas, gdzie się nieco pracy społecznej włożyło.

Lecz właśnie nie roztkliwiać chciałam Was, Panie „cywilne“, a przeciwnie pokazać Wam dobrą stronę tych przeniesień w wojsku, o których zwykłyście mówić ze współczuciem, lub z niechęcią.

Czyż w naszym krótkim życiu ludzkim winniśmy aż tak bardzo unikać wszelkich wstrząsów, zmian, silniejszych emocyj? Czy te wstrząsy nie przyspieszają właśnie obiegu krwi w naszym organizmie, nie wzmagają energii życiowej, nie zmuszają nas... żyć, a nie kisnąć?!

Jak w bajce. Tak dobrze znane północne, płaskie równiny, przez trzy lata schodzone na terenie całego powiatu, zamieniły się w przesłizne wzgórza, ze wszystkich stron otaczające miasto, za którymi widnieją groźne szczyty Karpat, co dzień inne, a zawsze, w grozie czy słodczy swej, piękne. I niewia-

domo, przy którym oknie zostać, posiedzieć, bo każde nęci i woła.

Szczęśliwie, dzięki poparciu tutejszego Magistratu, znaleźliśmy mieszkanie, wprowadzie daleko od centrum miasta, ale właśnie dlatego takie cenne pod innymi względami. Dom stoi w ogrodzie, wzgórze zdają się bliskie, bliskie, a soczysta zieleń drzew i smreków stwarza taką gamę odcieni, że nic nie jest w stanie wyciągnąć mnie z balkonu do miasta, a słodki przedsmak przyszłych wycieczek pieszych coraz więcej przeszkadza mi w codziennej pracy. Prawda, żal kątów, któreśmy zostawili, żal ludzi miłych, szlachetnych, z którymi się tak dobrze pracowało; ale człowiek uczy się kochać cały kraj, poznając go w różnych jego częściach, uczy się być dumnym z tego, że jego ojczyzna jest tak rozległa, tak zasobna w bogactwa naturalne, tak piękna! I człowiek czuje nowy przypływ sił do pracy, chce w nowym miejscu zostawić znów cząsteczkę swej duszy, pragnie rzucić najmniejsze bodaj ziarenko w tę ukochaną, przesłodką glebę ojczystą.

I znowu trzeba zaczynać pracę od początku; nawiązywać stosunki, rozglądać się, szukać gruntu, aby móc na nim stanąć mocno. Teraz zaniósł nas los aż na dalekie, południowo-wschodnie kresy, gdzie stosunki są skomplikowane, gdzie polskość jest jakby w cień usunięta, gdzie teren o pracę woła, ale też ją ogromnie swymi warunkami utrudnia, lecz gdzie są jednostki o wybitnem poczuciu obywatelskiem, gdzie są dobrzy polacy i prawi ludzie.

Proszę, taki obrazek. Przyjeżdżamy, zmęczeni długą podróżą, wieczorem późnym do pustego mieszkania. Wagon z rzeczami nadejść może dopiero za kilka dni. Tymczasem, zastajemy mieszkanie „umeblowane“: łóżka, stół z obrusem, krzesła, wieszadło, lustro, maszynka gazowa i t. d. i t. d. Nawet dla ordynansa znalazł się świeżo wypchany siennik. Jak się później okazało, córki naszego miłego, wielce szanownego gospodarza, pana T., własne nam łóżka oddały! Więc nie zginęła też i prawdziwa polska, serdeczna gościnność kresowa. Niema to, jak dalej od naszych krajowych ośrodków cywilizacji, z ich zmechanizowaniem, egoistycznym, zmaterializowaniem życiem! Widać, sama bliskość przyrody wywiera niezmożony swój wpływ, ludzie są bardziej otwarci, bardziej prości.

Przyjechaliśmy tu o tyle na czas, że mogliśmy jeszcze zadość uczynić naleganiom naszego gospodarza i zająć się uprawą własnych grząd w ogrodzie. A czego na nich niema!? jaka moc pomidorów, ogór-

ków, są nawet banie i kalafjory, a w dodatku trzy duże zagony kartofli. A czy macie pojęcie Wy, Panie z miast — jaką byłam i ja dotychczas — co to za rozkosz jest mieć swój kawałek ziemi, w którym można się grzebać?!

Jednak, jak we wszystkim, i w naszym nowym miejscu pobytu są słabe strony: każdy z członków naszej rodziny ma coś do zarzucenia. Babcia, że tu niema serdelków, a wędlina przeważnie sucha i niesmaczna; mąż i pan nie znosi „tutek“, w dodatku z krótkimi ustnikami; ja narzekam na drożyznę i nową terminologję, jakiej uczyć się muszę w sklepach, na targu, w kuchni. Jedynie chłopak mój zadowolony z życia, pomimo, iż zdawać musi tu do państwowego gimnazjum, gdyż był przedtem w prywatnym. Czarny już jest, jak Józefina Beker, pławi się w słońcu i powietrzu, i z całym zapalem co raz wykrzykuje: „ta joj!“.

Nie miejcie mi za złe Sz. Czytelniczki, że gawędzę sobie tak prosto i poruszam w „Mównicy“ sprawy tak bardzo dalekie od wielkich zagadnień społecznych — ale chciałam wskazać, że wbrew temu, co się często mówi i na co się tak nieraz narzeka, przeniesienie służbowe męża nietylko nie jest katastrofą dla rodziny, ale mieć może dużo dobrych stron zwłaszcza od czasu, gdy wszędzie Magistraty dopomagają w wyszukaniu mieszkania.

Prawda, dodatnim warunkiem naszych przesileni jest jeszcze i to, że w każdym nowym miejscu mamy swoje otoczenie wojskowe, swoją „Rodzinę“ — zmieniają się tylko poszczególne jej członkinie.

L. Ch. — woj. lwowskie

Jak pracować (w odpowiedzi p. M. K. z Podlasia)

W numerze 14-tym „Bluszczu“ przemawia Pani do kobiet pracujących. Uwagi te, niestety, są bardzo słuszne i trafne, jak również trafny jest podział pracowniczek na dwie kategorie, t. j. kobiet, zmuszonych do pracy, obarczonych rodziną, i kobiet, chcących się uniezależnić gotówkowo dla płytkich uciech.

Jednak, według mnie, gdyby nie było tej drugiej kategorii, praca nasza byłaby bardziej ceniona i szanowana. Bowiem kobieta, pracująca na swe utrzymanie, lub utrzymanie rodziny, pracuje z całym zaparciem się siebie, przyjmując na swe barki coraz większe obowiązki, aby się tylko utrzymać na posadzie, aby tylko jej dla jakiej błahostki nie zredukowano, zdając sobie jasno sprawę, iż na jej miejsce będzie dwadzieścia kandydatek.

Kandydatki te zgodzą się nieraz pracować taniej, bo praca nie będzie stanowiła o ich egzystencji, traktowana raczej, jako chwilowy kaprys, rozrywka i zabicie wolnego czasu. Do groszy zarabianych istoty takie nie przywiązują zbyt wielkiej wagi, a tem samem nie przejmują się pracą, stają się manekinami, automatami, niewprowadzającymi do swych zajęć żadnych indywidualnych ulepszeń, wykonując je raczej szablonowo i machinalnie.

Wynika to z tego, że wymienione osobniczki nie mają najmniejszego zamiaru budować kariery na tem polu. Każda z tych „manekinów“ — niepunktualna, krnąbrna i niedokładna — siedząc przy biurku (mówię w danej chwili o biurze), robi wrażenie rozgrymaszonego dziecka, któremu odmówiono ciastka. W większości wypadków są to córki zamożnych rodziców, które często zbytek domowy pcha do pracy i chęć pokazania „i ja pracuję!“.

Dobrze byłoby, aby każda z tych pań zdała sobie sprawę, czem byłaby ta praca dla kobiety potrzebującej, dla kobiety, która lata całe czyha na posadę, lecz wskutek braku odpowiedniej protekcji, tej nieodzownej towarzyszkii przy zdobyciu jakiegoś stanowiska, siedzi w domu w biedzie i często o głodzie. Są to istoty nieraz bardzo zdolne, a w każdym razie rzetelnie pracowite. Obowiązki swoje wykonywałyby napewno solidnie, ku ogólnemu zadowoleniu pracodawców. Zazwyczaj jednak mija się brylanty, ukryte w popiołach i szarzyźnie życiowej, a sięga się po kamienie o fałszywym blasku.

Podczas gdy lalki obracają zapracowany grosz na głupstwa, pieścidelka do swoich luksusowo urządzonych pokojów, lub kupują pyszne tualety — biedna jakaś bezrobotna nie jada obiadów, bo jej i na to nie stać. Nic więc dziwnego, że wyrażają się często z przekąsem o pracy kobiety i że walka nasza o sprawiedliwość w podobnych warunkach jest bardzo trudna. Dopóki solidarnie nie staniemy przy warsztatach swej pracy, nie staniemy się wszystkie bez wyjątku ozdobami instytucyj, w których pracujemy — dotąd zawsze zasługiwać będziemy na zgryźliwe uwagi i praca nasza oceniona nie będzie.

Czas wielki wypowiedzieć wojnę „protekcjom“, czas wielki usunąć z placówek pracy bezużyteczne manekiny, nieroby i popsuje, a powołać do niej ludzi, nie bezduszne automaty, odbierające chleb innym.

Złączmy się w jedną wielką organizację z hasłem „praca dla nas, a my dla pracy“.

Pola Pawłowska z Krasnegostawu.

Zrozpaczonej matce.

Jeżeli mąż Pani jest urzędnikiem państwowym, nietrudno będzie umieścić synka bezpłatnie w państwowym uzdrowisku dla dzieci urzędników, „Ustronie“, znajdującem się w województwie poznańskim. Przyjmowane są tam dzieci osłabione i wątłe. Opieka lekarska, higieniczne warunki, w jakich dzieci przebywają w „Ustroniu“, oraz zdrowe odżywianie — przyczynią się niewątpliwie do polepszenia zdrowia chłopca.

„Ustronie“ jest urządzone i prowadzone na wzór całkiem europejski. Rozumiem, iż wolałaby Pani zatrzymać synka przy sobie i sama się nim opiekować, lecz uważam, że zmiana otoczenia wpłynie dodatnio na psychikę dziecka, a tem samem przyczyni się do polepszenia stanu zdrowia. Adres uzdrowiska: „Ustronie“ — sanatorium — poczta Opatów nad Prosną — woj. poznańskie.

Irena S. — Łódź Chojny